



69-1138
ARCHIWUM
LEGIONÓW

i N. K. N.

Nr 983



CAŁE DŁUGOŚĆ LEGIONÓW MIĘDZY SOBĄ



CZY WIECIE, ŻE W POLSCE
osiem lat istnieje

KOMUNIKACJA POWIETRZNA

i że nasze samoloty przewiozły
bez żadnego wypadku:

**40 tysięcy pasażerów,
Milion klg. towarów
i kilka milionów listów.**

SAMOLOTY KURSUJĄ
codziennie lub dwa razy dziennie:

Warszawa — Poznań

Warszawa — Katowice — Kraków

Warszawa — Lwów

Warszawa — Gdańsk

Kraków — Katowice — Wiedeń

Poznań — Bydgoszcz — Gdańsk.



GAWĘDY LEGUNÓW MIĘDZY SOBĄ



Klische wykonano w Zakładach Graficznych Strzelezyk, Grabski i Sp.
Warszawa, Elektoralna 41, tel. 269-06.

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona”. Warszawa. Nowolipie 2.

FELJETON



ZAMIAST RAPORTU.

Było to pod koniec sierpnia roku bieżącego. Przechodziłem, zupełnie przypadkowo, ulicą Marjensztalem. Raptem usłyszałem przerażający głos męski, głos tonącego :

— Pomoc dajcie mi, rodacy !

Wbiegłem natychmiast do mieszkania, skąd ów zew pochodził i oto, co ujrzałem :

Przywalony stosami zapisanych papierów wił się w boleściach i wykonywał ruchy podobne do ruchów chcącego z głębin wypłynąć na powierzchnię człowieka, którego zaraz poznałem. Toć to Miguła, stary legun. Mój Boże! Pamiętam go od tyciego, tyciego kaprała!..

Gdy mnie ujrzał, wytrzeszczył jeszcze bardziej i tak już wybałuszony z przerażenia oczy i wyjęczał :

— Woda, woda !..

Ha, rozumiem. Jest to wyraz, który każdego leguna wyprowadza z równowagi. Legun toleruje wodę jedynie do użytku zewnętrznego (a i to nie za często), co zaś się tyczy spraw wewnętrznych, no to chyba tylko w butach znieść ją może. Jeżeli nie wierzycie, to jako dowód przytoczę wam fakt :

Wiadomo wszem wobec, że do Legjonów przyjechał oddział z Ameryki, a najlepszym tego dowodem jest odznaka z napisem: „Przez ocean do Legjonów“. A pytam Was, czy widział kto odznakę z napisem : „Z Legjonów do Ameryki“?... Acha — nie! A widzicie!... Legun w suchej Ameryce usechłby na wiór!

Ale wracam do Miguły. Pytam więc go, co się stało? Ten nie, tylko swoje :

— Woda, woda !..

Rozejrzałem się wokół — wody ani śladu, jeno stosy papierów, a na każdym świstku czerwonym ołówkiem, który nie-

szczeńnik trzymał jeszcze w ręce, wypisano te dwie litery : „D. D.“

Nie przypuszczajcie, że to znaczy to samo, co sobie leguny tłumaczyły — nie! — to znaczy poprostu : Do dyspozycji.

Tak oznaczał dawniej referent personalny akta leguna, który, mówiąc językiem prostym, okazał się do luftu.

Widząc, że inaczej nie da rady, chwyciłem się najostrożniejszego środka i porwałem opodał stojący dzbanek z wodą. Sam widok tego naczynia otrzeźwił go :

— „Do porządnego leguna z wodą?! Co?!“ — ryknął strasznym głosem i wygrzebał się z papierzysków, przybierając groźną postawę.

— Spokojnie! — powiedział — co wam jest, obywatelu?!!

Tu dopiero zaczął wywodzić swe żale i ubolewania.

— Patrzcie! — powiada. — Tyle mi nasłali „literatury“ do redakcji, ale sama woda!...

— Nie dziwię się wcale — odpowiadam nie było bowiem bardziej grafomańskiego wojska, jak leguny. Napoleon miał się wyrazić, że każdy żołnierz nosi w swoim tornistrze buławę marszałkowską, otóż, co się tyczy legunów, to twierdzę z całkowitem przeświadczeniem, że każdy prócz buławy, której zresztą nie miałem sposobności oglądać, miał conajmniej kilka poronionych własnych utworów.

Nawet analfabeci, nie mogąc osobiście uwiecznić na papierze swych złotych myśli, dyktowali kolegom, umiejącym pisać. W każdej kompanji znajdował się specjalista od listów miłosnych.

Przypominam sobie taki wypadek :

Byliśmy wówczas na dłuższym postoju. Pewnego popołudnia do jednego z legunów zgłosiły się równocześnie trzy narzeczone (dobrze, że tylko trzy!). Każda z nich była z innej miejscowości, ale trzeba zdarzenia, że przyjechały równocześnie — tym samym pociągiem. Co się tam działo, łatwo sobie wyobrazić! Dość na tem, że ów legun po ich wizycie skarżył się na fluksję, a twarz jego stała się dziwnie asymetryczną. Jednak nie owo krótkie spięcie przyprawiało go o zły humor, bo czego legun nie wytrzyma! Bolało go jedynie to, że tak miła korespondencja, której poświęcał każdą wolną chwilę, zawieszona zostaje na czas nieograniczony.

Powziąłem szlachetne postanowienie przyjść w sukurs Migule (czego legun dla leguna nie zrobi!). Zabrałem się do odczy-

tywania nadesłanych rękopisów i oto jaki sens moralny wyciągam z tej iście syzyfowej pracy:

Obywatele! Jeśli zbiera Was nieprzeparta chęć do pióra i papieru, posłuchajcie rad moich!

W 99-iu rękopisach na 100, nadesłanych do redakcji „Gawęd“, czytam :

„Zachodzące słońce rzucało krwawe blaski“... „Z łąk wznosiła się lekka, jak pajęczyna mgielka“... Tam znów jakaś dziewica skromna była „jak fiolet w trawie...“ i t. p.

— A spojrzyno jeden z drugim, obywateli, w lustro! — Z takim fasowanym pyskiem szczebiotać o fiołkach, mgielkach i zefirkach!... Końby się śmiać!... To dobre dla pensjonarek, ale nigdy dla uczciwego leguna.

Mimowoli nasuwa się na myśl złośliwe życzenie pewnego relutona, który miał zwyczaj mawiać w chwilach najwyższego oburzenia:

— Święty Jury, zejddże z obrazka i kopnij tego drania, bo nie wytrzymam!

A jakie nowele, jakie powieści z okresu wczesnego romantyzmu!..

A cóż to, „Gawędy“, to może zlew natchnienia, co?!...

Nie — Obywatele, wiercie nam, że każdy, choćby najbardziej prymitywny rękopis, ale zawierający żywe wspomnienia z przeżyć legjonowych, jest u nas mile widziany i po oszlifowaniu w razie potrzeby, znajdzie swoje miejsce na łamach „Gawęd“. Bo w naszym wydawnictwie musi w każdej kartce, w każdym wierszu tętnić żywa krew leguńska. Ta krew, która w latach wojny pulsowała w szeregach naszych, nadając im ten charakterystyczny rozmach i humor, nigdy niezapomniany dla każdego, nawet obcego, co się z nami miał sposobność choć raz zetknąć — ta krew, która gnała do czynu, do szlachetnych szaleństw — ta krew, która lała się tak obficie na polach walk legjonowych — ta krew wreszcie, która wypełniała serca, bijące płomienną miłością Ojczyzny i ubóstwianego Wodza!

Piszcie więc — piszcie wszystko, co jeszcze w pamięci się nie zatarło z owych najlepszych w naszym życiu czasów. Piszcie prosto, tak, jak się to po relutonie opowiada. Piszcie jędrnie po żołniersku z temi, jak się to mówi? — no wiecie!... Jednym słowem — po męsku!

W celu uniknięcia nieporozumień, zawiadamia się P. T. zapoznanych autorów, że autor powyższego, nosi stale przy sobie parasol, w którym ukryty jest C. K. M.

— — — — —

A teraz przytoczę Wam na zakończenie codzienny nasz dialog z ob. Migułą :

Ja : No, cóż z waszym raportem ?

Miguła : Z jakim raportem ? (robi greka).

Ja : (mrużąc lewe oko) No, niby z tym z pierwszego numeru „Gawęd ?“

Miguła : (dalej robi greka) O co wam chodzi ?

Ja : Nie, o co, tylko chyba o kogo ?

Miguła : (jak wyżej) Jaki ?

Ja : O panów generałów, pułkowników, prezesów, dyrektorów i...

Miguła : Dziękuję, zdrowi.

Ja : Dobrze, ale kiedy dostaniemy obiecane rękopisy ?!

Miguła : (bierze tekę i kapelusz — z za drzwi) Jutro będą napewno.

N a z a j u t r z :

Ja : (jak codzień) Cóż z waszym raportem ?

Miguła : Z jakim ?

Ja : Obywatelu, bo będę strzelał !

Miguła : (za drzwiami) Jutro murowane !

I tak codzień, codzień, bez zmiany.

Ja wziąłem na siebie czynność hydrotechnika, t. j. zapuszczam dreny w nasz materiał redakcyjny i odprowadzam wodę do... kosza, a Miguła biega od świtu do nocy za solennie przyobiecwanymi rękopisami i przysięga na wszystkie świętości, że już się pisze.

I tak podzieliliśmy swe czynności : on biega, a ja czekam.

S. Z. H.

NIEZNANY EPIZOD, CZYLI O LOTNICTWIE SŁÓW KILKORO.

Nie danem mi było służyć w Legjonach, lecz dziś — gdy łączyć się muszą wszyscy i gdy słowo *bataljon*, *brygada* i t. d. rozrosło się do pojęcia *Naród* — dziś możemy gwarzyć razem Leguny z *lotnikami*.

Wy, którzyście umieli poświęcić wszystko dla dobra wielkiej idei. Wy, którzyście umieli ukochać sprawę czystą bez interesu, rozumiecie lotników.

Legun z Lotnikiem dogada się łatwo, bo obaj umieliśmy nieraz patrzeć śmierci w oczy, bo jesteśmy tymi, którzy zostali przy życiu z tysiąca naszych kolegów, którzy wyruszyli z nami razem i których większość śpi spokojnie w grobach bohaterów.

Legun i lotnik to bratnie dusze wychowane na umiłowaniu wielkich idei.

Legun krwią swoją zdobywał Niepodległość...

Lotnik będzie jej bronił i nie pozwoli zabrać...

Tak oto dziwnie mnie staremu lotnikowi zacząć z Wami gawędę o lotnictwie.

A redaktor dusi i prosi — pisać!

To nie przeszkadza, że pan nie był legunem — jest pan patrjotą, który umiłował Polskę, jest pan tym, który budował fundamenty pod wielkie i silne lotnictwo polskie, które pan kocha. Trzeba o tworzeniu i rozbudowie naszego lotnictwa coś napisać.

A więc dobrze, — chętnie pogawędzę z wami o lotnictwie, bo choć wy młodzi duszą i ciałem, jednak wysłuchacie uważnie mnie, starego organizatora lotnictwa, albowiem już sama myśl lotnicza wiąże nas w nierozzerwalną przyjaźń i rozwija ducha pełnego młodości. Opowiem więc wam najpierw jak to szykowano lotnictwo polskie w czasie okupacji, kiedy to Legjony i P. O. W. razem stworzyły I kursy lotnicze.

Z inicjatywy porucznika P. O. W. inżyniera Deklera grupa zainteresowanych zwróciła się do Komendanta z wnioskiem zaczęcia prac przygotowawczych do budowy lotnictwa polskiego.

Komendant przyjął w mieszkaniu warszawskiem przy ul. Natolińskiej 6 delegację inicjatorów i po krótkiej dyskusji na wyraźny rozkaz Komendanta zaczęło pracować.

A rozkaz Wodza dla peowiaków to był największy zaszczyt, z którego wywiązać się należało jak najlepiej. Rozkaz Komendanta zmuszał do pokonywania wszelkich trudności i osiągania możliwie szybko celu. W Warszawie rządził wtenczas okupant, którego dygnitarze robili wszelkie możliwe trudności, nie wiedząc nawet dokładnie, że za tą całą „niby to niewinną“ imprezą stoi Piłsudski i piłsudczycy. Pierwsze starania rozpoczęto na miejscu, zwracając się do władz okupacyjnych o legalizację Polskiego Towarzystwa Żeglugi Napowietrznej. Trick ten — mający świadczyć o lojalnych zamierzeniach — nie powiódł się i różne Glasenappy uparły się bardzo ostro.

Wtedy dusza całego projektu — inżynier Dekler, exredaktor pierwszego w Polsce czasopisma lotniczego przypominał sobie, że zna z przed wojny starego działacza aeroklubowego z Berlina — niejakiego p. T. Nie wiele myśląc — inżynier Dekler odszukuje owego pana i znajduje go w randze majora w wojskowym lotnictwie niemieckiem.

Major T. dał się przekonać przez spokojnego redaktora (gdyby wiedział, że to peowiak, toby go biednego szlag trafił na miejscu) i poparł czysto sportowe cele kursów i umożliwił legalizację Polskiego Towarzystwa Żeglugi Napowietrznej.

Przyszedł befel z Berlina i pieski Glasenappa warcząc musiał uznać w P. T. Ż. N. instytucję.

A tymczasem P. O. W. ogłosiło rozkaz o konieczności zapisywania się na Kursy i o tem, że ta „sportowa nauka“ traktowana będzie czysto służbowo.

I podczas gdy przyciągnięte dla zamaskowania tego tłumy cywilbandy z licznymi kobietami na czele stanowiły większość słuchaczy — peowiaci otrzymywali wyraźne rozkazy tej mniej więcej treści: „Obywatelu stawcie się tego dnia na wykładach“, „Obywatelu stawcie się tego dnia na egzamin i t. p.“

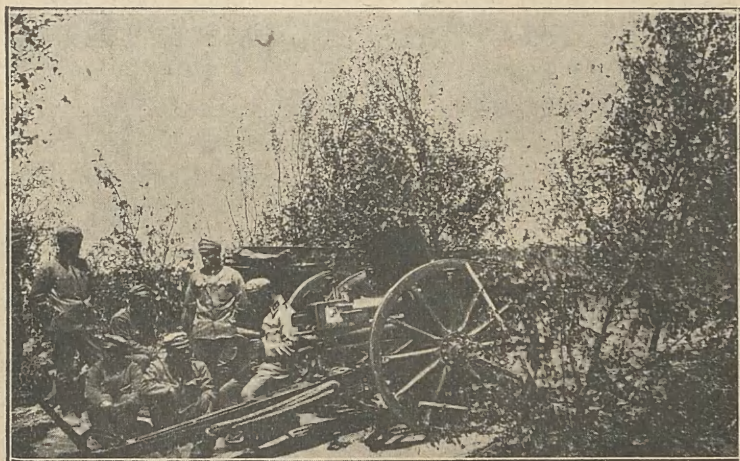
Co najciekawsze, tej jednej z kart P. O. W. Niemcy nie przyłapali i mimo tego swym psim węchem coś czuli i nie wymacać nie mogli.

W ten sposób 25 lutego 1917 roku w lokalu szkoły rzemieślniczej obok obecnego szpitala Piłsudskiego (kierownikiem szkoły był wówczas obecny wojewoda Twardo) odbyły się pierwsze na ziemiach polskich systematyczne wykłady z lotnictwa. Kierownikiem technicznym kursów był inżynier Zygmunt Dekler (zginął

na froncie litewsko-białoruskim w grudniu 1918 roku) — kierownikiem wojskowym — obecny profesor politechniki (wówczas kapitan Legjonów) Drewnowski. Wśród komitetu wykonawczego spotykamy nazwisko peowiaka Denhof-Czarnockiego (dziś nie żyjącego) i pułk. emeryta Wyrostka (wówczas majora L. P.). Wśród wykładowców znajdował się ppor. 4 p. p. legjonowej January Bolesławski (dziś ppłk. Grzędziński). Uczniowie, którzy rekrutowali się z różnych sfer, mieli w swem gronie około 20 podoficerów legjonowych i blisko setkę peowiaków.

Tak oto nastąpiło poznanie Legunów z Lotnikami.

Tak oto zaczęto szkolić pierwszych legjonowych lotników.



Na pozycji.

Tu zaznaczę tylko dla przykładu, że słuchacze kursów: 1) Fijałkowski zginął jako porucznik lotnictwa polskiego; 2) Bartel jest dziś naczelnym konstruktorem fabryki „Samolot“ a wielu innych pracuje nadal w lotnictwie, bądź też powiększyło liczbę grobów ozdobionych śmigłem.

Polskie Towarzystwo Żeglugi Napowietrznej ma wśród swych założycieli prócz komendanta — Zdzisława Lubomirskiego (ówczesnego prezydenta m. Warszawy), rektorów ś. p. Brudzińskiego i Patschkego, Artura Śliwińskiego, Eugenjusza Śmiarowskiego, Michała Sokolnickiego i innych.

Niemcy mają Glasenappa ze sforą psów gończych.

Dlatego też dzień zakończenia kursów *10 czerwca 1917 roku*

był ostatnim dniem oficjalnego życia tej instytucji — żandarm pruski stanął wprost przeciw wszelkiej dalszej pracy.

Rok 1918.

Przy istniejącej wówczas Komisji Wojskowej rozpoczyna się półjawna praca lotnicza. Z inicjatywy inż. Deklera — zaczyna się ostrożnie uświadamianie opinii publicznej przez prasę, a w dalszym ciągu przez wydawanie specjalnych czasopism lotniczych jak: „Polska Flota Powietrzna“, „Loty“ i t. p. W „Bellonie“ i „Wiarusie“ pojawiają się pierwsze artykuły o lotnictwie. Nie śpi również pobudzony do tego „Przegląd Wieczorny“ i „Nowa Gazeta“. Jeden ciągnie drugiego. W Komisji Wojskowej melduje się szereg oficerów z armij zaborczych i legjonów jak to: porucznik Zych-Płodowski (zginął śmiercią lotnika) i wielu innych. Powstaje pierwszy punkt zborny sił lotniczych — powstaje pierwsza grupa ludzi, którzy wraz z peowiakami zajmują 11 Listopada 1918 r. lotnisko warszawskie, ażeby stworzyć zaczątek lotnictwa polskiego. Peowiaczy z inżynierem Deklerem na czele otrzymują 10 listopada wyraźne rozkazy i 11-go zbierają się u wejścia na lotnisko, ażeby objąć je w posiadanie.

Niemcy początkowo bronili się, a następnie poodcinawszy linki od sterów i zrobiwszy inne podobne kawałki grożące życiu pierwszym lotnikom Polski, opuścili lotnisko jak niepyszni.

Tak wyglądało nasienie lotnicze rzucone na glebę polską, z którego właśnie powinno wybijać zdrowe i potężne, silne i licznie rozgałęzione drzewo lotnicze — lotnictwo polskie.

Gleba była podatna, więc nasienie przyjęło się, zakiełkowało i poczęło rosnąć, a do pracy nad jego rozwojem porwało się liczne grono wytrwałych i zdolnych, pomysłowych, przedsiębiorczych i chętnych pracowników, których w pracy poparło całe społeczeństwo polskie. Jednakowoż w gronie owych pracowników znaleźli się także i zwolennicy osobistych celów, co rzecz jasna odbiło się ujemnie na rozwoju „drzewka lotniczego“.

Jednak „drzewko lotnicze“ rośnie, zaś całe społeczeństwo polskie, a szczególnie wszyscy jego miłośnicy śledzą bystro, z wytężonem okiem jego postępy w rozwoju. Nic więc dziwnego, że i mnie starego ogrodnika - lotnika prześladuje ustawicznie i bezlitośnie każdy powiew i szelest rosnącego u nas „drzewka lotniczego“. Nieraz zatem przysłuchując się jego powiewom i szelestom, rozmyślam długo nad stworzeniem dla niego jak najlepszego podłoża rozwoju i w tych to mozolnych rozmyślaniach usypiam ze zmęczenia. Ponieważ razu jednego po tak miłym śnie

obudziłem się przerażony i cały zlany potem, więc opowiem wam ów sen, który mnie nawiedził:

„Śnił mi się wybuch wojny — rok 19..., który zastaje mnie na stanowisku szefa naszego lotnictwa. W kraju na ulicach panuje ruch wielce ożywiony, a życie płynie w tempie przyspieszonym. Mobilizacja! — Telefon... Naczelne dowództwo wzywa mnie jako szefa lotnictwa celem odebrania specjalnych rozkazów.

Spieszę więc uradowany i nieco podniecony, ponieważ czuję się na siłach wykonać każdy rozkaz, albowiem gotowość bojową naszego lotnictwa postawiłem na bardzo wysokim szczeblu. Przecież to nasze rosnące „drzewko lotnicze“ — to lotnictwo w pierwszym rzędzie odmłodziłem i utrzymałem je młodem, następnie mierzyłem je w różnych raidach, zamierzałem przedtem pokonać Atlantyk, latałem w nocy i pokazywałem wartość naszego lotnictwa przedstawicielom zagranicy — jego potentatom, uczestniczyłem osobiście na wszystkich wystawach lotniczych zagranicą — więc obserwując całość, powiem, że zdziałałem dużo! Zatem silny na duchu, oparty na kolegach z doświadczeniem wojennym i walki w przestworzach i posiadając na piersiach liczne dowody uznania za chlubną pracę na polu lotniczym, nie lękam się żadnej odpowiedzialności i melduję się w Naczelnym D-twie.

Otrzymuję pismo zapieczętowane z oznaczeniem „Mob“, ściśle poufne — do rąk własnych szefa lotnictwa. Otwieram — jednak już z pewnem zastanowieniem i czytam...

„Dnia..... (dzień ogłoszenia mobilizacji)..... ciężka nocna eskadra niszczycielska (do bombardowania) atakuje w nocy z dnia... na... w dwu grupach miasta A i B, gdzie zniszczy urządzenia dworców kolejowych, w drodze powrotnej wielki wiadukt kol..... ..Druga ciężka nocna eskadra niszczycielska w dwu grupach zdemoluje centra przemysłowe K i fabrykę broni R.....

Dnia... (pierwszy dzień mobil.) godz. 8 rano... dwa dyony niszczycielskie dzienne zaatakują w grupach lotnika L. i N., zniszczą w mieście L. centralny urząd telegraficzny i dworzec. W mieście N. główne koszary wojsk. i fabrykę silników lotniczych, w drodze powrotnej...

Dwie eskadry myśliwskie płatowców typu jednomiejscowego i dwie eskadry myśliwskie płatowców typu dwumiejscowego oddać do dyspozycji dyonu niszczycielskiego.....

W ataku używać także i bomb gazowych.

Obok miasta P. i miasta Ł. założyć lotniska polowe z wszelkiem urządzeniem dla lotów nocnych, dokąd powrócą według równego podziału i rozmieszczenia wyżej wymienione jednostki lotni-

cze i tamże pełnić będą służbę. Lotniska wyposażyć w zapas benzyny i oliwy wystarczający na 70 godzin lotu dla każdego płatowca i odpowiednio do czasu lotu w dostateczną ilość bomb typu lekkiego, ciężkiego, gazowe, oraz w amunicję karabinów maszynowych, poza tem w zapasowe silniki, skrzydła, podwozia i śmigła. Każde lotnisko otrzymuje po jednym ruchomym parku lotniczym, służbę techniczną i obsługę.

Dtwa lotnisk wyznaczyć po jednej eskadrze płatowców typu lekkich bojowców (częściowo opancerzonych) dla pełnienia służby obserwacyjnej granicznej a mianowicie od.....

Do wyłącznej dyspozycji Nacz. Dtwa odkomenderować eskadrę typu dalekiego zwiadu (pułap — 9.000 m. promień działania 1.000 km.) pełnie uzbrojoną. Dowódca eskadry zamelduje się w Nacz. Dtwie...

Celem utrzymania ścisłej i stałej łączności między Naczelnem Dtwem i Dtwem Lotnisk P i Ł, odkomenderować na lotniska po dwa płatowce z załogą z cywilnej linii lotniczej.

Jedną eskadrę myśliwską odkomenderować przedtem do miasta S, dla ochrony przemysłu fabrykacji broni i amunicji, i wyznaczyć tamże lotniska polowe... Fabryka płatowców K i fabryka silników lotniczych M, otrzymuje przedtem również po jednej eskadrze myśliwskiej dla ochrony przed szlakiem lotniczym..... Odnośne karty i plany załącza się.

Na lotnisku w stolicy pełni służbę.....

Ach! Strach i lęk mnie ogarnia — nie mogę czytać dalej. Przecież wojna dopiero rozpocznie się, a tu na wstępie dowiaduję się o wymaganiach, o których nigdy nie myślałem, zatem ani lotnictwa ani jego przemysłu nie przygotowałem nawet do rozpoczęcia wojny. Mam lotnictwo odmłodzone ale i równocześnie nie dorosłe do poczynañ na większą metę. Umimy wprawdzie dobrze latać, ale nie możemy wykonać powierzonych nam zadań — więc co dalej. — Popełniłem zbrodnię wobec ojczyzny, którą przysłoni tylko krew własna... Chwytam za broń i... budzę się... Jestem uszczęśliwiony, gdyż to był tylko sen, sen który mnie gnębił.

Ucieszony chwytam dziennik poranny i jeszcze większa radość napawa mnie całego i zaciera ślady strasznej nocy. Już na czołowej stronie dziennika czytam wyryte wielkim drukiem „Irlandja kupuje polski samolot Fokker“ — więc żyjemy! Nasz polski przemysł pracuje nawet dla zagranicy, więc praca lotnicza wre u nas w całej pełni. Przecież L. O. P. P. zbiera datki dla lotnictwa w całym narodzie. Kupuje za nie i buduje lotniska, a w ufundowanym zakładzie aerodynamicznym, ozdobionym pięk-

nym ogrodem kwiatowym, bada się profile skrzydeł. Nasi konstruktorzy, popierani gorliwie przez miarodajne czynniki i L.O.P.P. pracują energicznie i tworzą piękne okazy. Posiadamy już znaczną liczbę polskich awionetek, które pokazaliśmy przelatującym stolicę zagranicznym uczestnikom międzynarodowego raidu awionetek. W innych raidach lotniczych polscy lotnicy są pierwsi... w Polsce. Umiemy również podziwiać, oceniać witać i przyjmować wszystkich lotników obcych. Nasze lotnictwo cywilne rozwija się w całej pełni, a zdolni jego pracownicy i piloci otrzymują pochwały i zdobywają światowe rekordy regularności i pewności w lotach na polskich Fokkerach i Junkersach. Możemy się szczycić doborowym materiałem na pilotów, pośród którego znajdujemy jednostki, porywające się pokonać i przelecieć Atlantyk nawet i na obcym samolocie. Nie zapominamy także myśleć i o młodym pokoleniu, przygotowując dlań podłoże naukowe, które to prace polskie chętnie popiera i wydaje L. O. P. P.

Tak więc młodzi przyjaciele, gawędziłbym jeszcze długo i wybierał inne piękne zalety i usługi oddane pracy naszej na polu lotniczym, które takową mają postawić na wysokim poziomie. Nie chcę jednak dłużej męczyć was — pełnych życia, inicyjatywy i energii, tą bezdźwięczną gawędą o naszej pracy na polu lotniczym, więc kończąc, życzymy naszemu lotnictwu, jako jego przyjaciele, silnego rozwoju, opartego na zdrowym podłożu i rodzimym przemyśle i nie zapominając o strasznym śnie, uważajmy go za przestrogę przeżywanej rzeczywistości.

A. Wańkowicz.

Nakładem T-wa Wydawniczego
Strzelczyk i Kąsinowski

Warszawa, ul. Elekoralna 41. Telefon 269-06.

UKAZAŁY SIĘ:

TESLAR TADEUSZ. **„Czerwona Gwiazda“**, (prawda o Sowietach i komunizmie). Cena 4.50 zł.

TESLAR TADEUSZ. **„Narody w sieci Sowietów“**, (szkice o kwestji narodowościowej na Białorusi i Ukrainie sowieckiej z uwzględnieniem warunków bytu Polaków zakordonowych, obywateli sowieckich). Cena 1 zł.

TESLAR TADEUSZ. **„Żydzi na wulkanie sowieckim“**
Antysemityzm w Europie. Rozważania na tle stosunków żydowsko-sowieckich — oparte na bardzo rozległej bibliografji i dokumentach; w tekście ilustracje pogromowe. Cena 4.50 zł.

MACIEJOWSKI J. **„Dwaj Marszałkowie, Ks. Józef Poniatowski i Józef Piłsudski“**. Cena 4 zł.
Wydanie luksusowe na kredowym papierze, 10 zł.

NIEZABITOWSKI WACŁAW (Jan Lar), **„Huragan od Wschodu“**. Powieść na tle konfliktu białej i żółtej rasy (str. 355). Cena 6.50 zł.

NIEZABITOWSKI W. **„Ostatni na ziemi“**. Powieść z niedalekiej przyszłości.

TESLAR TADEUSZ. **„Kiedy będzie wojna z sowie-tami?“**. Rozważania polityczne oficjalnych przedstawicieli Zw. S. R. R. na temat „nieuniknionej wojny w r. 1928“.



Tak p. Nowaczyński urzędował w Legionach.

CZYN W POEZJI

D R O G A

Rapsod.

*Ostatnim Legionistom Polskim przypisuję.
G. Trz.-R.*

INWOKACJA.

Niech Chwilę Wielką, Chwilę Osobliwą
— Tamtych minionych lat cudną legendę —
Duchem młodzieńczą, biciem serca żywą,
Srebrem wspominań rzewnych dziś oprzędę,
Będzie w nich dużo o jasnej przeszłości,
O wielkich sercach, duszach i wolności.

Z dróg polskich wzniosę w błękit niebios kurze,
Pola okopem przetnę i rozplonę,
Raz pójdę na dół, to znowu ku górze,
Wyjdę z Krakowa, w Polesie pogonię,
Raz błysnę strofą, to ją zaćmię żalem...
Aż wam pokażę rycerze — we chwale!

Czy doprowadzę me pieśni do celu,
Czy się mie zwiode błaskiem chwały pustym —
Ja, prosty żołnierz... jeden z szarych wielu
Okaże przyszłość... Lat minionych chusty
Zrywam ze sceny świata. Gińcie słowa,
Powstańcie Czyny! — Tak woła Kadrowa!

— — — — —

O Komendancie! Tobą, Wodzu, Panie,
Zamykam onych pierwszych strof prologi,
Na Twoje idziem zawsze rozkazanie
Skoś życia ciernie i jutrznie i głogi,
My, Twojej woli żołnierski różaniec,
Żołnierze Twoi i Ojczyzny szaniec.

ROZKAZ.

Już zmieniono odznaki braterstwa...
Strzelec, drużyniak — obaj dziś żołnierze,
(Dobrzy dziedzice ojców bohaterstwa)
Krwia pieczętować idą swoje: Wierzę.
Związani stulą wspólniej broni świętej
Idą w bój! Skrzydła do lotu rozpięte.

„Spotkał was zaszczyt niezmierny, żołnierze,
Pierwsi pójdziecie zbrojni do Królestwa...”
Wy, moja wola..., serce..., wy, rycerze!
Zwalcie granice! Godzino zwycięstwa...
Dość wahań, siewu tutaj są granice!
Do czynu! Wstańcie orły i orlice!

Za krew wylaną, za nędzę i krzyże,
Za kazamaty, mękę i Sybiry
Pójdziecie skapać się w bitewnym wirze.
Już słońce wschodzi nad krzyże i kiry...
Na serca kładę ręce me żołnierskie,
Choć żołnierz tylko, znam rzeczy anielskie.

Brzmi polski bęben!... Na jednym tornistrze
Oprzecie głowy utrudzone w męce
Słuchając serc swych powieści najskrytszej,
Siwe wam niebo schyli się w podzięcie,
Wicher zaszumi swoją pieśń szaloną,
Powiedzą maki, dlaczego tak płoną.

Gwiazdy wyjawiają wam to miłościwie,
O czym li dusze najpiękniejsze wiedzą,
I sen się przyśni, sen na polskiej niwie,
Gdy leci rzeźwy wiatr od boru miedzą
A ty zaś z czołem do ziemi schylonem,
Masz w nim piastunkę czulą i obronę.

Życie więzione w śmierci własnym kłamie
Rozpalę znowu do nowego życia,
Historji śpiącej w lamusowym chłamanie
Rozkażę zrzucić spleśniałe powicia...

Ja serce Komendant — płomienną komendą
Wierzyłem: Rozkaz Wypełnią i Przejdą!

— — — — —
— — — — —



Pod Konarami.

Pełni się „Słowo - Rozkaz, Rozkaz - Słowo“,
Serce, przelewa w serca ogień żywy,
Dla serca — serce Polaka gotowo,
Bije godzina, świt wschodzi nad niwy,
Nad Polską pełnią się proroctwa wieszczu...
Czyż nie słyszycie głosu Rogu jeszcze?!...

Czyż nie słyszycie tętentu od błoni?
Wódz-Przeznaczenie z Archaniołem jedzie?
Płomień ma w twarzy... Jedzie, jedzie, goni!
(Słowo z marzenia wcielone na przedzie)
Nie, nie przystanął!... Przejechał... pogonił
Słysz, woła: Polsko, do Broni, do broni!

— — — — —
— — — — —

Tu na dygresję zezwola krytycy,
Co ukochałem i jak, piszę śmieie,
Nie nie obchodzi mnie pokłask ulicy,
Ani się wstydzę przeżegnać w kościele.

Już taki jestem. Mam miłości świątki,
Na której nie chcę partyjnej pieczętki.

Choć może pełni jadu atramentów,
Rzuca się na mnie ci z prawa i lewa,
Kpię sobie głośno z tego ich lamentu,
Z faryzeuszy do łez się zaśmiewam,
Nic nie obchodzą mnie, znam ich chód kreci,
Jedną mam miłość — ta mi po grób świeci.

— — — — —
— — — — —

DROGA.

Różnie bywało, lecz zawsze podchmurnie,
Coś się robiło... nie kramik, interes,
W którym potrafią robić byle durnie
Rzeczy tak małe, choć podnoszą skwers.
Oto kohorty wiedzie na bój Ares!
Pisząc biblijne: Mane, Tekel, Fares.

Znaliście takich, dobrze takich znali,
Tam przy „Komendzie“ wojujących butnie,
Ważących na swej dłoni małej szali,
Sprawę Królowej... Tak pchają się trutnie
Do uli, których są pomiotem djablim,
Chociaż wciąż buczą, jak tamci przy szabli.

Inaczej w polu z karabinem w ręce
Biegła za Wodzem swym garstka „szaleńców“,
Rzecz się pełniła wielka, w wielkiej męce,
A choć za pracę nikt nie rzucał wieńców,
Wierzyli Jego wiarą, czuli sereem,
Z ciał ścieląc Polsce królewskie kobierce.

— — — — —

Już nadchodziły zimy straszne, lute...
Śnieg bieleł drzewa, chrzęścił pod stopami,
Znikły błękity chmurami zasnute,
Że góry zdały bratać się z duchami,
Strzelec szedł naprzód, a taki niezłomny,
Jak ten pas górski, co widniał ogromny.

Hej! miał za sobą już zwycięskie boje,
Miał bohaterów wielkich i rycerzy,
Zahartowały go żołnierskie znoje,
Duch mocno okrzepł, coraz silniej wierzył,
Choć nie uczony codziennej żołnierki,
Hardo trwał strzelec, mimo poniewierki.

Życie żołnierskie, choć ciężkie i trudne,
A może właśnie, że nie jest dostatnie,
Grało mu pieśni takie dumne, cudne...
Że dzień zaś każdy wybija ostatnie
Chwile, że się to życie skończyć może,
Płonęło serce w nim, jak złote zorze.

Kielce. Anielin. Laski. Krzywopłoty...
Tym szlakiem glori wyłożonym blaskiem
Żołnierz szedł naprzód piachem, przez wykroty...
Naród nie witał go w drodze oklaskiem,
Bo leżąc długo w niewolnej mogile
Dalekim czynu był o całe mile.

Z czajką, co głośno nad Nidą zawoła,
Z bakiem, co głucho wieczorem zajęczy,
Szła pieśń strzelecka śmiało dookoła,
Niosąc otuchę na stufarbnęj tęczy,
Słyszał ją soldat i wyciągał szyję:
Więc Polska nie umarła jeszcze? — Żyje?

I śpiewał tęsknie, lecz jakoś z pogańska,
Śpiew to przelewał miękko, to rozwłóczył,
Lecz, że niewolnik nie ozwał się z pańska,
Jeno tym smutkiem pałł siebie i tuczył.
Nie słuchał strzelec bardzo onych żali...
Więc w pustkę biegły, po srebrzystej fali.

Zresztą z swym Wodzem dzielił dolę różną
Z miesiącą w miesiąć. Choć z wojsk najuboższy,
Choć jadał mało, a zwykle podróżno,
To jednak sercu stawał się wciąż droższy,
Pijąc wraz chwałę mieszaną z piotunem
I sam był wiosną — i Wiosny zwiastunem.

Bo żołnierz polski chował w piersi słońce,
Które rok temu wziął ze sobą złote,
Z słońcem umierał, kule miał za gońce,
A echa strzałów za wieczną tęsknotę,
Szedł polską ziemią, nie żałując blizny,
Niby jaskółka, do Wolnej Ojczyzny.

Tak doszedł za Bug na unitów ziemię
A nieba słały już srebrzyste puchy.
Zimy szły, chłody, wczesne mroku cienie,
A z nimi różne żołnierskie podsłuchy:
O domach, krewnych, obłoków kolorze,
Że Polska będzie już... po świętach może...

Tymczasem las rył granat i szrapneli
Leciały kule z różowych obręczy,
Aż się dziwiły straszliwej kapeli
Sosny — z nich ledwie która, że zajęczy
Tak cicho szumią, gdy piorun wyblyska,
Jakby nie okop był tu, a kołyska.

Nie da się strwożyć żołnierz byle niczem,
On trwa i wierzy. Polsce dał przysięgi
Głosem młodości, co palił jak znicze
A później głosem żołnierskiej udręki
Za Komendantem idąc w zórz wierzeje,
W Nim Los Ojczyzny widział i Nadzieję!

Robotnik, student, chłop — wszyscy szli razem,
Bo już ten hufiec był jedną rodziną
I jednym sercem i jednym rozkazem
I złą się dzielił i dobrą godziną
A śmiał się z Polski carów, czy niemieckiej,
Przy której stali, jak baby u niecki
Tamci..

Ileż z Brygadą rzek i miast minęli,
Gór przesadzili ile, co stracili,
Ile zyskali... Kiedyś przy kądzieli
Tą pieśnią niańka dziecię, które kwili

Będzie kołysać, lub starce zgrzybiali
Wspomną, jak z Wodzem zwyciężali śmiali.

Maszerowała wiara z krańca w kraniec
Miarowym rytmem starego piechura,
A z każdej miedzy, drzewa, tworząc szaniec,
Karabin miała z sobą, miast kostura,
Na śmierć li pójdzie, obalać królestwa,
To zawsze w sławę Polski, do zwycięstwa!

Już padł Ostrowski, Orwid, Krak-Dudzieniec,
Zginał Żuliński, Pększyc i Wysoki,
Hej! wił się z trupów nieskończony wieniec,
Bo śmierć czyhała, jak strażnik stooki...
Więc stos ofiarny rósł z lechickich kości,
Ten znak widomy wiary i miłości.

Nie zna przesądu, szarży, stanowiska
Gorąca miłość kochanej Ojczyzny,
Padł trupem Sternschuss, Chaber (żyd z nazwiska)
Od dwóch kul razem, jakby mało blizny...
(Ten Chaber-Mansperl był wielkiego ducha,
W oczach Mansperla była chabrów skrucha).

Ach! jaki poczet imion drogi, długi,
Płynie z nad Wisły, Nidy, wód lazurów,
Od pół, z pod Tater, poleskiej szarugi,
Od wsi i lasów, od miasteczek murów,
Z wypraw kieleckiej, warszawskiej, lubelskiej
I z podkarpackiej, nakoniec poleskiej...

Tyś go otworzył, trębaczku mały,
Gdy larum grałeś Polsce, budził śpiące
A dzisiaj, spojrzysz!... oto poczet cały
Duchów za tobą po śmiertelnej łące
Idzie... a łąka jako te rubiny
We krwi migoce. To Polsko — Twe Syny!

Tak być musiało, aby ostrza nowe,
Aby się nowe zapaliło serce,
— Co w bój polecą, jak tamto gotowe —
Nowe słać kwiecica, szkarłatne kobierce,

Aż ziemia siewem krwi tej urodziwa
Przybliży chwilę ostateczną żniwa.

Już wiosna, wiosna szesnastego roku...
Wołyń... Polesie... wzgórze Kościuchnowki...
Pełne kretowisk splełanych uroku,
W lasku sosnowym znowu kopców mrówki.
Brygada górę trzymała niezłomnie
I upał boju i Lasek i ognie.

Aż poszedł taniec. Najpierw z maszyn wnęki
Ktoś nagle puścił z sykiem strasznym parę,
Potem dźwiękliwe kołysały jęki,
Potem huk runął nad okopu jarem
Aż zamarł echem... Tak z armat Moskale
Przez dzień Brygadzie ślali swoje „vale!”

Okopy drżały, huczało powietrze,
Z ciałami żywych zmieszane cmentarze,
Męstwa Brygady żelazo nie zetrze,
Pozycja była jej wielkim ołtarzem
Ach tehu! powietrza! dym wdziera się w piersi,
Czyli przetrwają z żołnierzy najpierwsi?...

Raz wyrzucony, powróci do gniazda
Żołnierz od dymu czarny, z krwi czerwony.
O, nie ustąpi — on tej ziemi gazda,
Jej wszystko, los jej na szale rzucony.
W twarzy Narbuta widzi święty płomień,
Więc w ogień pędzi, w ogniu oszołomień.

Leci... Nóg tupot... Dźwięk kuli... Błysk stali,
Strzeleckie czapki, rosyjskie papachy...
Jak pędzą, gonia... Przeparli, wytrwali!
W bok! grzęzawisko, mostek, krwawe piachy,
Krew, wycie, ogień, piekło możesz przysiądz,
Rozbłysków tysiąc i kartaczy tysiąc!

Zginęli Nehring, Guzowski, Karwacki,
Podporucznicy: Charzewski, Janicki,
Porucznik Chajec (do końca junacki),
Na mostku walił stary legun Mlicki,

Aż wystrzelawszy naboje do końca,
Zwalił się twarzą zwrócony do słońca.

Tyraljera na śmierć i na życie
W potrzask płomieni, w błyskawice myśli!
(Ze skowronkami powstałi o świetle
A oto już pod wieczór życia przyszli)
„Do kontrataku! Puścimyż im płazem?!...“
Krzyknął Sław — zachwiał się i zwałił razem.

Zginał Furgalski, major nad majory,
Wojskiem szloch targnął i zagasił radość,
Jemu pobladły na licach kolory
I wraz go zdjęła śmierci straszna bladeść...
Gdyby mógł mówić o żołnierskiej doli,
Toby powiedział, że rana nie boli.

Ach! jakże smutno, że kiedyś ta lawa
Jeszcze kipiąca bujnem życiem wojny
W końcu ostygnie. Że kiedyś ta sława
Skrzydłata tyle, później w czas spokojny.
Ta krew bezcenna, te krzyże omszałe
Będą literą, martwym folijałem.

Młodzi usiądą nad nim — jak wy w Lasku
Z „Michałem Czarnym“, z nim „sitwesem“ Dziadka. —
Znów wszędzie księżyc w swym srebrzystym blasku,
Na łące cieni położy się kładka
A gdzieś z rozlewisk Styru, z bagien wnąki
Przyjdzie żab pogwar i komarów brzęki.

Znów spłynie jesień i przygasną zorze
I będzie wieczór taki dziwnie cichy
I szum głęboki pójdzie gdzieś po borze,
Sosny przystaną, niby krwawe mnichy,
Pnie się rozjarzą, jak główne w kominku,
Lub rząd ułanów, gdy stanie w ordynku.

Z duchem Michała przy ogniu zasiada
Chwytać żołnierskich dziejów treść bogatą,
Swe serca mierzyć jego serce sondą,
Jak on się cieszyć jedyną zapłata,

Że z karabinem stał radośnie w ręce
Tam, na granicy Polski zbrojnej — w ręce!

Zanim od walki tej odwrócę lice
Tyle rycerskiej, polskiej Sprawy świętej,
Chcę o „Michale” mówić, co dziedzicem
Był onej walki, choć tak niepojętej.
Na nim pieśń skończę, bo tak serce wierzy
Mało już takich, jak był on — rycerzy.

Ten Michał — sitwes — Sulkiewicz, różaniec
Walki przesunął przez swe proste życie,
Aż dobiegł Polski, gdy już życia kraniec
A do roboty stanął o przedświacie,
Złożywszy wszystko na ołtarzu sprawy
Trud życia cały i znój śmierci krwawy.

Niech ma ten sierżant swą mogiłę własną
Niech nad mogiłą wschodzi księżyc srebrny
Niech świeci nad nią słońce, zorze gasną,
Bo grób ten kryje ran polskich bezmierny
Łańcuch i trudy i pieśń i wołanie
O wolność Polski, Polski Zmartwychwstanie.

Niech mówi, jak ten rycerz w Polskę wierzył,
A duchem swoim, jak pochodnia gorzał,
Że był sierżantem z przesławnych rycerzy,
Co Polskę nieśli przez lądy i morza
Zawartą w prostym torpistrze wojskowym...
I tak już czekał jej przyjścia gotowy.

Aż gdy na Anioł zadzwoniły dzwony
W cerkiewnym, starym wołyńskim kościółku,
Duch jego śmiercią z ciała wyzwolony
Ponad piątego wleciał okop pułku,
Zostawił czyste dla dzieci nazwisko,
Poszedł za Polską prosić — Boga blisko.

Co potem było i jak było jeszcze
Pieśń wam następna powie o tem więcej,
Brygadą wstrząsną niepokoju dreszcze
Lecz nie zachwieją jej wiary dziecięcej,
Ujrzycie wojsko nie w ordynku z bronią,
Lecz jak się o nie politycy — gonia.

Jako partyje wzniosą o nie skweres,
Jak każdy chciałby wieść one żołnierze
I każdy na nich swój upiec interes,
Objąć komendę i zasiąść przy sterze...
Lecz żołnierz hardy, jak ryba wyśliźnie
Wie, co jest Bogu winien i Ojczyźnie.

Co płynie z ducha, ofiary, miłości
Żyć wiecznie będzie, ziarno w dusze rzuci
A co z podłości ludzkiej i małości
Jak mierzwa zginie, jak plewa wymłóci,
Wiatr to rozpędzi, by popiół z płomienia,
Nie nie zostanie. Nawet ni wspomnienia!

BUNT.

Po kraju warezwał bunt. Naród się burzył,
Pomruki było słyszeć, głos protestu.
Bywało, że i żołnierz się odurzył
I dawał posłuch słowom „Manifestu“,
Lecz Niemiec nie śpi, bo żołnierza sława
Lękiem go ciąglým, obawą napawa.

Niech legjoniści noszą pruskie blachy...
(Cesarz niemiecki w środkach nie przebiera)
Kiedy przysięgną, zaraz pierzchną strachy...
Leci po pułkach rozkaz Besselera:
Zniszczyć Brygadę. Nie, że kombataneci,
Niech się ten żołnierz raz odkomendanci.

Nie zechce słyszeć, to w pułki powcielać,
Opasać drutem koleczastym Szczypiorny,
Zamknąć w więzieniach, przed frontem rozstrzelać,
(Żołnierz bez wodza nie stanie oporny)

Trza zgnieść ten odruch Brygady szaleńczy,
Nimb zedrzeć sławy, zgasić okrąg tęczy.

Żołnierz odmówił złożenia przysięgi,
Broń złożył z żalem, szedł za więzień druty...
Wraz... gdzieś... z pod ziemi wyłazł chochoł tęgi,
Trąca w błazeńsko-pogrzebowe nuty:
Gdzie wódz, co myśli, co chce i zamierza?...
To chciał mieć wojsko... dziś nie chce żołnierza.

Już wyrastają różni histryjoni
Brudem ciężarni i głupi i mali,
Krzykacze w imię Orła i Pogoni,
Swą miłość kładą przewagą na szali,
Gębują sztandar połamał na ćwierci
I wrzeszczą na co tyle było śmierci?!

Jaśni obrońcy „bezpańskiej” ojczyzny
Dalej, połóżcie swoje przeciwwagi,
Atramentowe swe cudowne blizny,
Cały swój światek, kuglarstw, szachrajstw, blagi...
Wy — którzy w pyskach macie świętą spowiedź
Chcecie by dał wam serdeczną odpowiedź?

Odpowie Przyszłość: o wy mali, mali
Sąd, to — On tylko... wy w pracy dziecienni...
Czyście z Nim byli, czyście zwyciężali?
Wy — wyrobnicy podmuchów godzinni
Podli i mali — nie mali — robaki...
Dla was mam jeden gość — nie powiem jaki...

— — — — —

Lecz wracam do Brygady tyle wiernej.
Na rozkaz gdzieś przycupła, jakby zgasła.
Nie śpi... wpatrzona w blask gwiazdy przedsternej
Przyczaiła się, czeka tylko hasła...
Jeszcze się dymią wojny pióropusze,
A więc czuwają serca, gorą dusze!

Wodza więziła Magdeburga wieża...
Czoło zmarszczone troską niecodzienną...
Więzień daleki od swego żołnierza
Duchem brał nad nim komendę płomienną:

Niech idzie Polską od krańca po kraniec,
Jak konfederat, peowiak, powstaniec.

Niechaj buduje w krwawej polskiej glinie
Ku poświęceniu duchów i ofierze,
Niechaj rozstaje w trzy strony wyminie
I dalej idzie — wierząc — jak ja wierzę.
Bój nieskończony i zakolatanie
O nową Polskę, o Zmartwychpowstanie!

*

*

*

Żegnaj eposie mi legijonowy,
Byłeś mi więcej niż serdecznym druham,
Ty w Polsce dawny a zawsze, jak nowy,
W syny spływałeś wielkich ojców duchem,
O Tobie wieszczę nam śpiewał nieomylny,
Że tylko ufny zwycięża i silny.

O byłeś silnym, aby przetrwać tyle
I tyle przenieść, a trwać tak zawzięcie,
Ty stokroć większy ponad Termopile,
Wieszczę testament w tonącym okręcie,
Ty radość Polski i cierpienia morze,
Jej pieśń Wiosenna i Wolności Zorze.

Warszawa, 1929 r.

NA KRAŃCACH BYTU I NIE BYTU

Pamięci kapitana Sława-Zwierzyńskiego.

PROLOG.

*(Ciemna, bezgwiezdna noc w Tatrach. Czarne zarysy gór, u stóp
ich prawie niewidoczny olbrzymi, uśpiony tłum).*

POSTAĆ I.

Cicho potok szeleści
W tajemnej głębinie
Na sen, na sen omdlały.
Fala sennie upieści
I przepada i ginie
Pod niewzruszone skały.
Cicho, cicho dokoła!
Niech życiem nikt nie łudzi
Tych, co pragną martwoty.
Spuszczam nocy zasłonę
Na tłumy nieruchome...
Niech na nich nikt nie woła,
Niechaj ich nie budzi
Dreszczem żywej tęsknoty.

POSTAĆ II.

Mogę poszarpać góry,
Nawałnice, wichry —
Tych tłumów nie ruszy.
Huragan nie obudzi
Śpiącej gromady ludzi,
Co nie ma własnej duszy.

Będę czekać lata, wieki
Aż odpowie na ich lęk
Zagubiony ruch daleki,
Czarodziejski dźwięk.
Ten tłum będzie słodko śnić,
Że godny jest żyć.
Choć porzucił cenny dar
Dla błyszczących mar,
Zaświatową strwonił moc
Nim minęła noc,
Srebrnym marom dał się zwieźć
Zamiast wici nieść,
Senną piosnką spętał ducha,
Co nie działa tylko słucha,
Archanielskich drzeń,
Co nie działa, tylko czeka,
Aż nadejdzie skądś, zdaleka
Jasne widmo, co obudzi
Na czyn bezwład sennych ludzi
Stworzy złudę złud —
Wyzwolenia cud.
Już nie przyjdą wam anioły
W nagłą pomoc złotozbrojne,
Nie powiodą was na wojnę
Na upiory, na chochoły.
Wasz odwieczny sen się prześni
W czarnej nocy, w zimnej pleśni.
Snem spętane wasze dłonie
Rdzą zgryzione wasze zbroje.
Nie zatętnią nocą konie
Krwawe budzić niepokoje.
Musi zwalić się w mogiły,
Co do życia nie ma siły.
Przyjdzie wreszcie czas,
Że z bezsilnych mas
Wstanie silny duch —
Ten obudzi ruch.
Ale musi przedtem nieść
W trudzie dobrą wieść,
W pracy wielu lat
Do zapadłych chat.

Musi tworzyć wraz
Z czynem całych mas,
Rozdmuchać, rozpaść
Przytłumione skry,
Czyn stworzyć i zwalić
Na najlepszą porę
Bez władu zaporę
Nieufność, niezgodę
Bezsilności łązy.
Zmienić w rwące morze,
W miażdżącą kaskadę
Mętną, płytką wodę.
Musi sprawę wznieść
Jak sztandar podniebny,
W słońce przed narodem,
Wyzwolenia znak,
Porwać go i wieść
Skrzydlatym pochodem
W twórczej pracy szlak.

POSTAĆ I.

Och nie znajdzie się już tam
W tłumie śpiących ludzi
Duch, co pójdzie sam
Na jałowe pole
Pod fabryczne dymy
I naród obudzi dla myśli jedynej.

POSTAĆ II.

Przyjdzie, wszędzie kiedyś dzień,
Że wskrós mrok i cień
W smutku nocy głuchej
Ktoś zobaczy świty
I powiedzie duchy
Do słońca, na szczyty;
Że ktoś żagiew swą,
Wielkich buntów płomień
Rozpłomieni krwią
Zbudzonych pokoleń

Wzrosłych w hańbie pęt
I lud tak rozpali
I sam tak rozplonie,
Tak natęży głos,
Że zatracą smęt
W jasnym szczęku stali
I odejdą w bój
Własny, jeden, swój
W mocne biorąc dłonie
Wykrwawiony los.

CZĘŚĆ I.

BEZIMIENNY.

Na jakich wyżynach oczy obłąkać szalone,
By już wiecześnie patrzeć w tę jedyną stronę,
Na jakich przestrzeniach oczy zawiesić tęskniące,
By mieć nad sobą tylko noc ciemną i słońce,
W jakie przepaście serce porzucić człowiecze?...

Wchodzę w dolinę czaru, śmierci i bezruchów.
Rycerskie widzę zbroje, poszczerbione miecze,
Srebrną legendę snami obłąkanych duchów.
Przychodzę w utrudzonym, dalekim pochodzie,
W pleśń posępnych przepaści, między głązy skalne,
Obudzić jedno słowo mocne i chóralne,
Stworzyć jeden czyn wielki i wspólny w narodzie.

Bądź Ty teraz rycerska, dawna Polsko ze mną,
Żeby ta moc zbudzona nie padła daremno.
By dała jedno serce żołnierskiej gromadzie!
Potęgo twórcza, myśli, uczucia i ducha,
Pozwól, by w chwili czynu, co dzisiaj wybucha
Uwierzyli w lud, w Polskę i w swój sen o szpadzie.

Hej rycerze, rycerze, uśpieni rycerze!
Uwierzcie w nowe życie tak, jak ja w nie wierzę,
Usłyszcie głos, co echem po przepaściach dzwoni
I odpowiedzcie hasłem żołnierskiem: do broni!

(przeciągły śmiech)

Przeciągłym śmiechem tylko ozwały się góry...
Milezenie lub szyderstwo —
Miast olbrzymów karły...
Znam to, ach znam zbyt dobrze...

Ten tłum jest umarły.

BEZIMIENNY.

Nie chcę obudzić tłumu. Ci wszyscy nie mogą
Odejść ze mną szeroką i słoneczną drogą.
Lepka pleśń grubą warstwą pokryła im dusze —
Bez ich woli sam Pan Bóg nie mógłby ich zbawić.
Łańcuchy zerwę — brudnych pajęczyn nie ruszę,
Niech zostaną — obrastać w tłuszcz i w ciszy trawić,
Gdy Wolną czyn żołnierski do życia obudzi,
Gdy wrócimy w ten świat bezwładem zabity,
Zobaczymy tych wszystkich powstających ludzi,
Jak będą szli do walki o zysk i zaszczyty.
Cieniem marzenia serce napróżno uwodzić,
Niech teraz śpią najdłużej, by nie mogli szkodzić.
Do Was się tylko zwracam; zwałonych w ustroni,
Rycerze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej,
Z Waszej mi tylko piersi żywej, choć przebitej
Rytm krwi płonąca smugą w sercu dzwoni.
Wy jedni przez historii przewinięci kartę,
Przed jej genjuszem, pychą tragizmem i zbrodnią,
Jak jedno serce wierne i dla Niej rozdarte
Czystej, żołnierskiej cnoty płoniecie pochodnią.

Wy dzisiaj mi potrzebni! Czas wielki nadchodzi,
Krzykiem czerwonym woła i wichrem uderza!
Co żyło — pada w gruzy, co martwe — się rodzi.
Czy teraz może zbraknąć polskiego żołnierza?
Czas powstać! Nasze życie krwawe i ofiarne,
W zmaganiach wychowane i w buncie podziemnym,
Na pola wyprowadzić pachnące i czarne
Dobrej wieści pod stopy kobiercem płomiennym.
My sami, z własną bronią, silni nad przemoce,
Dla obietnic wzdurzeni, świętej Sprawie wierni,
Wolni żołnierze z śpiewem w czarne pójdziem noce.
Jak ta żołnierska, stara piosnka nieśmiertelna.
A jeśli kula w serca zabłąka się stronę
I krwi smuzką przewinie jaki mundur szary —
Słodko zaśnie pod polskim sukniem przytulone.
Och, ciszej, niż zgryzione bezczynem niewiary.

Tylko wstańcie, by nasza moc się nie pocięła
W szponach opóźnień — rychło nadejdzie godzina!
O krwi ciężar dziś u nas ta się upomina,
Co jeszcze — czy słyszycie? — jeszcze nie zginęła!



Opatrunek w polu.

GŁOS.

Kto nas budzi? Kto myślą zuchwałą uderza
O serce, smutne serce martwego żołnierza?
Kto szyderstwem tragicznej przeszłości potrząsa,
Kto znów słowami czucia, myśl i ducha kąsa?
To wszystko, co zmartwiało było i zdławione...
Nie budź nas! Wszak przed nami jest otchłań bezdenna,
A w niej jedna melodia niemilknąca, senna,
A w tej melodji jeden dźwięk — wszystko stracone...
By zardzewiało w pochwach nie jętkły pałasze,
Przejdź cicho, zasłaniając twarz przez piersi nasze.
Bo w nich serca, och, wiemy „zwałpiałe, nieżywe,
Drżące“ jak niemowlęta od płaczu i lęku
I inne okropniejsze jeszcze „robaczywe“...
Przejdź smutny, nie podnosząc opuszczonej głowy
Bośmy niezdatni nawet na kamień grobowy.
Och, nie budź nas, uśpionej nie trać Cheronei,
Bo nam nieznanym wyraz, twe słowo...

(pada z jękiem)

nadziei!

BEZIMIENNY.

Nie zwątpilem, nie zwątpię, wierzę, wierzę, wierzę
W Twój dzień, Polsko i w Twoje z narodem przymierze!
Serca puste rozpaczą walka krwią napełni,
Serca zrobaczywiałe bój szczęśny oczyści,
Serca drżące od lęku uderzą ogniściej,
Inaczej niżli śmierci, radośniej i wierniej.
Moje słowa jak świetne lecą błyskawice
Za któremi grom musi powstać i uderzyć —
Rycerze! Czas się zbudzić, czas żyć i czas wierzyć,
Czas zbrojną ręką życiu nowe pisać prawa!

GŁOSY

Gdzie nasza sława, sława, wielkiej śmierci sława?...

BEZIMIENNY.

Skargę słów jako tarczę przed czynem nosicie,
Nie o śmierć wielką proście, lecz o wielkie życie!
Przychodzę z wichrem czynów i stoję nad wami,
By porwać Was za sobą w życia bujną dzielność,
W zwycięstwo, w szczęście walki, w sławy nieśmiertelność —
A wy się zalewacie bezsilnymi łzami...
Naszej walce po wiekach odpowiedzą wieki!
Oto my szlak wąziutkiej ścieżki rozpostarty
Od serca swego ludu do Polski dalekiej,
Posterunek jedyny honorowej warty.

Cisza... Lecz w głębi wybuch pręży się, uderza,
Buntem zapala serca mimo rdzy puklerza.
Świeży powiew wolności rozpełtał tęsknotę
Wielkim płomieniem wiary w czyn i w nowe życie.
Powstanie! Duchy świtów purpurowe złote
Radosne skrzydła lotem prostują na szczycie.
Czy słyszycie W przepaściach wiatr zbudził się hałny,
Swobodny wiatr, miazdzący, szalony, nawalny
I na szczytach zszarpanych wybuchną muzyką —
Pamiętacie tę piosnkę słodką, smutną, dziką,

Co po błękitnych wirbach roznosi się echem
I na piersi wam pada ze szlochem i z śmiechem.
O spójrzcie! Światło wzeszło nad najwyższe szczyty
I odbiło się w zbrojach świetnemi błyskami.
Słońce, słońce nad nocą! Na czarne granity
Leją się krwi zakrzepłej strugi purpurowe —
Wiatr ich czerwien jak sztandar rozwinął nad nami
I na krwi pożar skrzydła rozpostarł orłowe
Śnieżne, bijące skrzydła!

GŁOSY

Polska, Polska, gdzie Polska? Zaprowadź nas do Niej!

BEZIMIENNY.

Oto dziś w nas się staje.

GŁOSY

Do broni! Do broni!

CZĘŚĆ II.

Taras zamkowy. Bal. Odległa muzyka i gwar. Wieczór wiosenny.

ONA.

Galanterja, uśmiechy, przyciszone słowa,
Polki idące z wdziękiem w niemieckie ramiona,
Jak kiedyś szły w moskiewskie na balach Skatona
W cichych, królewskich salach...

(Pani i Pan)

PANI.

Czar walca włada nami
Uroczą, parną nocą.

PAN.

Upajajmy się snami
Łaską króciutkiej chwili
Bez smutku i goryczy.

PANI.

Nim przyjdzie złe z przemocą
I z tęczowych motyli
Słoneczny sny popłoszy —

PAN.

Wypijmy źródło słodczy.
Żar przelotnej rozkoszy.

(Pan I i Pan II)

PAN I.

Nuda, tak prędko życie nuży,
Czas się rozwleka, snuje dłuży...
Czy nigdy koniec nie nastanie?
Wszystko kupilem, wszystko znam...

PAN II.

A teraz głowę sobie łam,
Jak żyć, sceptyczny panie!
Stoisz znudzone miny,
Że nie masz żadnej wiary,
Patrz jak tańczą dziewczyny.
Tylko nie zechciej szukać
Wśród barwnego kobierca
W ludziach, ludzkiego serca.
To taki przesąd stary!
Dbaj o interes własny,
Bez badań, czy jest jasny.
Nie myśl, co czyni drugi,
Bądź syty, zdrow, wyspany,
Miej osiągalne plany
I zawsze pełen worek —
Poprawi się humorek.

PAN I.

Nie mam żadnego celu,
Nie mam dość ważnej sprawy,
By warto dla niej żyć.

Tak pragnę złudne cienie,
Mętnych pragnień cierpienie
W dzień rzeczywisty zwić —
W jakiejś wojnie krzyżowej
Mieć skrzydła złotej sławy
Nad snem rycerskiej głowy...

PAN II.

Dziś brzuch każdemu bogiem,
A interes ołtarzem,
Cóż ci się w głowie roi.
Każdy ci człowiek wrogiem
Mój rycerzu z pod Troi.

(Panna I i Panna II)

PANNA I.

Och, życie, używanie,
Zawrotny taniec, granie,
Złotem szyte mundury...
Dokoła, hej dokoła
Radosnym krzykiem woła
Walc słodki i zdradziecki.

PANNA II.

Piękny taniec niemiecki
I oni sami mili,
Sławni jak bohaterzy
Uprzejmi, piękni, szczerzy.

PANNA I.

Będziemy o nich śnili.

(Polityk I, II i III)

POLITYK I.

Słyszę, że państwa sprzymierzone
Młokosów polskich wybrykami
Dotknięte trochę i zdziwione

POLITYK II.

A tak łaskawie były z nami...

POLITYK I.

Bo ten pyszałek z swym oddziałem
Chciałby zawładnąć państwem całym,
Nad nami wolę przeprowadzić.
Warto mu silną pięść narzucić,
By przestał się z narodem kłócić,
Sprawę dla własnych mrzonek zdradzać.

POLITYK III.

Więc wysyłają ich mój panie,
Na stanowiska takie krwawe
Skąd się przynosi zawsze sławę,
Lecz często z bitwy nie powraca...

POLITYK I.

Warci są tego, bo ich boje
Wzburzyły tylko niepokoje,
Porwały tamy mądrej miary,
Zepsuta cała nasza praca.
Że ich pociąga majak stary
Myślą, że mogą psuć nam sprawę?
Machnęli ręką na Warszawę —
Niechże tam idą w krwawym pyłe
Szukać swych wiar i snów w mogile,
Gonić złudzenia i ich blaski.

POLITYK II.

Jużeśmy mieli takie łaski
I obietnice pełne chwały,
A im się wyśnił sen zuchwały.

POLITYK III.

Tak, panie, los jest zły,
Bierzemy, nie bierzemy...
Wszakże Polska — to my,
A my Polski nie chcemy.
Lepsze bogactwo wroga,
Niż ojczyzna uboga.

Trzebaby darmo służyć,
Zlepieć, tworzyć, budować,
Nic dla siebie nie chować,
Co można tylko — dać.
A my wolimy burzyć,
Skądże korzystać, brać,
Nam nie wystarczą sny.

WSZYSCY.

Wszakże Polska — to my!

LEGJONISTA.

I nagle w barwny tłum
Upadło wielkie słowo,
Pusty dźwięk.
Twarze zostały zimne i szydercze,
Lecz na zblakłe portrety
I staroświeckie ściany
Pożogą purpurową
Padł ten daleki jęk
I echem powtarzany
Jak wichur szedł przez serce,
Jak zawierucha.
Aż zadrżał dom
Od stóp kamiennych
Do marmurowych skroni
I z poczerniałych ram
Wybuchnął krzyk — do broni —
Bezsilne widma, zjawy.
Korowód wspomnień błądy
Ze szczękiem trzasnął w szpady.

ONA.

Polska, Polska!
Ten dźwięk marny,
Ten krzyk głuchy, ten szloch pusty,
Co się ślaniał krył w piosence,
Co go kiedyś ojce, dziady
Wymawiali w krwawej męce
Stygnaćemi usty...

LEGJONISTA.

Znów się zerwał, znów się krwawi.

ONA.

My nawet nie wiedzieli,
Że znowu jacyś oni
Podnieśli sprawę spraw,
Sami bez naszych dłoni
Podjęli wielki trud
Pamięcią dawnych zjaw.

LEGJONISTA.

Dla was były wielkie rody
I srebrniki i liczmany
I przeszłości świat przegrany,
Niechęć kryta do swobody,
Co przez ofiar wiedzie szlak.
Bo wy prędko, cicho tak,
Po tej krwawej, gorzkiej chwili
Mocno wszystkie drzwi zabili
Dywanami postulali,
Bu usunąć tylko dalej
To, co mogło zmącić sny.
Wyście dusze pokurczyli,
Serce lękiem w piersiach struli,
Podeptali, zadławili,
Co pamięcią w was się czuli,
Wy uznali moc,
Co was pchnęła w noc,
By się tylko nie obudzić,
Nie narażać i nie trudzić.

(c. d. n.)

Z PAMIĘTNIKA

TARAPATY LEGUNA Z II-EJ BRYGADY

(skreślone z pamiętnika własnych przeżyć)

Rok 1914 w Krakowie. Ruch, wojna na karku, my zaś, którzy należymy do Związków i Drużyn strzeleckich, ćwiczymy pod czujnym okiem władz austriackich, mając jeden karabin na dzięsięciu. Lecz wojna nieunikniona zmusza austriaków do wydania nam broni i zezwolenia na jawne z nią występowanie do ćwiczeń. Ale pożałuj Boże, co to za broń. Karabiny werndle, stare, jednostrzałowe, używane jeszcze za czasów Marji Teresy — bez pasów.

Teraz gromadzi się chmara ochotników, tworzą się plutony, kompanje. Wojna wybuchła. Nasz Komendant dnia 6 sierpnia przechodzi granicę i maszeruje do Kielc. Żał mi, że nie mogę iść z nimi, bo leżę chwilowo w małym prywatnym szpitalu przy ul. Rakowickiej na zapalenie stawu kolanowego, czego przyczyną były nocne ćwiczenia. Po ośmiu dniach jestem zdrow i wracam do swoich.

Siedziba nasza znajduje się przy ul. Dolne Młyny.

Kompanja nasza liczy już przeszło 140 ludzi dziwnie umundurowanych. Karabin na szpagacie, bagnet na pasku od spodni, w twardym kołnierzyku, krawatce i miękim kapeluszu. Prawie wszyscy byliśmy w ten sposób przyodziani, gdyż niewiadomo było jeszcze, jaki będzie mundur przepisowy. Byli nawet tacy co nosili t. zw. meloniki. Bo i kogoż tam nie było w kompanji! Akademik, górnik, szewc, piekarz, dziennikarz, student, zakonnik, teolog z II kursu seminarjum duchownego. Sanitarjuszek też nie brak było. Wszyscyśmy mieli pseudonimy.. Nie wołaliśmy inaczej na siebie, jak Bohun, Grzmot, Zagłoba i t. d.

Komendantem naszej kompanji był dziennikarz krakowski — pseudonim Korczak.

O śniadania musieliśmy się starać we własnym zakresie, obiady kto mógł jadał w domu, a kto nie miał rodziny w Krakowie, otrzymywał kartki i chodził codzień gdzieindziej. Społe-

czeństwo krakowskie bardzo się nami opiekowało, ofiarowując obiady i noclegi. Ja też często otrzymywałem kartki na obiady. Trafiałem czasem dobrze, a czasem i na skromnym obiedzie trzeba było poprzestać. Jadało się w klasztorach, w restauracjach i w domach prywatnych. Miałem raz szczęście nawet jeść u pewnej hrabiny na ul. Wolskiej. Z początku czułem się skrępowany, ale morowy kielich czystej, rozwiązał mi język. Po skończonym obiedzie otrzymałem kilka paczek tytoniu, lecz spóźniłem się na zbiórkę popołudniową, za co na drugi dzień komendant plutonu przedstawił mnie do raportu. Otrzymałem dwa dni dyżuru kar-nego i musiałem pilnować karabinów, ustawionych w kozły na podwórzu, ponieważ nie było magazynu.

Kolacje otrzymywaliśmy zwykle tam, gdzie wyznaczony był nocleg.

Ćwiczenia odbywały się normalnie. Zbiórka o godz. 8-ej rano, potem odmarsz na błonia ze śpiewem. Dyscyplina wojskowa, ale, jak wspomniałem, umundurowanie, składające się z kurtek, marynarek, bluz i tylko częściowo z mundurów strzeleckich, lub sokolich.

Pewnej soboty otrzymaliśmy rozkaz, że nazajutrz t. j. w niedzielę, zbiórka odbędzie się o 5-ej rano. O godz. 4-ej m. 30 nastąpił odmarsz na błonia. Komendant kompanji niezadowolony z opóźnienia, (czekali bowiem na nas instruktorzy polacy, służący w armji austriackiej), wydaje ostre rozkazy do ćwiczeń. Niektórzy z nas, nie spodziewając się ćwiczeń, poubierali się odświętnie. Naraz padła komenda, aby rozwinąć linję tyraljerską. Ranna rosa, oraz pozostałości po krowach, które się tu pasły przez rok cały, nie były wcale rzeczą zachęcającą. Jeden z moich kolegów w białej kamizelce na komendę „padnij!” spowodował zetknięcie się swej nieposzlakowanej kamizelki z niezaprzeczalnymi dowodami krowiej obecności. Takich wypadków było i więcej, gdyż komendant, dbając o dobre krycie, przygniatał nas do ziemi.

Dnia 8 września nastąpił akt przysięgi. Zbiórka o godz. 7-ej rano. Kompanję naszą, liczącą wówczas już przeszło 240 ludzi, podzielono na 4 plutony. Pierwszy pluton, ten do którego i ja należałem, był prawie cały krakowski, drugi — z Bieżanowa i Gdowa, trzeci — sami podhalanie, a czwarty — kołomyjacy, którzy po rozbiciu się legjonu wschodniego i zajęciu przez moskali Lwo-wa, przekradli się przez Węgry pod dowództwem komendanta plutonu Kruk - Szustra do Krakowa.

Cała nasza kompanja maszeruje do kościoła św. Piotra. Są już tam kompanje strzeleckie, tworzone w Oleandrach, kompanje

sokołów, kompanje bartoszone, a każda inaczej umundurowana. Jest również szwadron ułanów, który swoim umundurowaniem zwraca ogólną uwagę.

W kościele ścisk, kilku generałów austriackich, przedstawicielstwo cywilne przed wielkim ołtarzem. Nabożeństwo rozpoczyna się. Słuchamy go i myślimy o tem, co będzie dalej. Po skończonem nabożeństwie orkiestra gra „Boże, coś Polskę”. Wszyscy śpiewają — generalicja austriacka wstała z miejsc. Po skończonym „Boże, coś Polskę”, zamiast hymnu austriackiego „Boże wspieraj”, orkiestra gra „Jeszcze Polska nie zginęła” — dygnitarze austriaccy opuszczają czempredzej ławki i uciekają do zakrystji.

Po wyjściu z kościoła maszerujemy przy dźwiękach orkiestry na błonia, gdzie formujemy czworobok. Po paru przemówieniach — generała austriackiego i kilku naszych przedstawicieli, ks. kapelan wszedł na dorożkę i odczytuje rotę przysięgi. Pomimo, iż było nas kilkuset, mało było słuchać powtarzania tej roty. Ja sobie myślałem wówczas, skąd tu wyrwać pieniędzy w razie odmarszu na front. Miałem wprawdzie matkę w Krakowie, ale nie śmiałem już jej prosić, żeby mnie poratowała jakim groszem, gdyż przez długi czas mojego pobytu w szeregach i tak ją dokładnie oskubałem z pieniędzy.

W parę dni po tej przysiędze pomaszerowaliśmy do Krzeszowic. Kompanje naszego baonu zostały rozmieszczone w różnych wsiach pod Krzeszowicami, a więc: w Paczoltowicach, Czarnej i innych. Wówczas to dowiedzieliśmy się, że nasza kompanja jest pierwszą I-go baonu drugiego pułku piechoty Legjonów Polskich. Dowódcą kompanji był nadal Korczak, a dowódcą baonu — Żegota - Januszajtis. Jedzenie otrzymywaliśmy już z kotła. Po przysiędze „mamusia - Austrja” zdecydowała się dać nam jeść. Ćwiczenia były nieco inne niż w Krakowie, chodziliśmy bowiem na patrole do Racławic i dalej. Odbywały się też nocne ćwiczenia wśród tamtejszych lasów. Wystawiano placówki, szukano szpiegów. Na noc wystawiano warty, żeby nas kto, śpiących w stodole, nie podpalił. Mało jednak brakowało, a bylibyśmy się sami podpálili przez papierosy.

Zostałem powtórnie przedstawiony przez dowódcę plutonu Smorawińskiego do raportu — za to, że urwałem z drzewa śliwkę. Zakaz zrywania owoców spowodowany był obawą przed epidemją czerwonki.

Parę tygodni oczekiwaliśmy z niecierpliwością odejścia na front. Dowódcą naszego pułku został pułkownik Zieliński. Otrzy-

maliliśmy rozkaz odmarszu do Krakowa. Żał mi było opuszczać Paczółtowice, gdyż zostawiałem tam pannę Nastusię.

Około 20 września ruszyliśmy w stronę Krakowa. Po całodziennym marszu przybyliśmy tam pod wieczór. Nasza kompanja została zakwaterowana w szkole przy ul. Krowoderskiej. Zaraz po przybyciu, wszyscy porozchodzili się do krewnych, znajomych, ciotek, narzeczonych, kochanek, lub kuzynek, aby się pożegnać, ponieważ doszły słuchy, że lada dzień mamy być umundurowani i odejść na front. Na trzeci dzień pomaszerowaliśmy do magazynów przy cmentarzu Rakowickim, gdzie otrzymaliśmy nowiusieńkie karabiny syst. Manlicher — Schenauer, które były przeznaczone dla Grecji, lecz wybuch wojny, nie pozwolił Austrii na ich odtransportowanie. Ponieważ karabinów tych było tylko parę tysięcy — zaopatrzone w nie 2 p. p. Leg. Pol. Karabiny te były lekkie i celne kaliber 6 i pół, 5-cio strzałowe, lecz miały tę ujemną stronę, że były słabe w szyjce, a wąskie i długie bagnety gięły się, jak drut.

W parę dni później przetranslokowano nas na Zwierzyniec, gdzie już przygotowane były mundury. Otrzymaliśmy po dwie pary trzewików, (z których po jednej prawie każdy zostawił w Krakowie) pasów zaś nie chcieliśmy przyjąć, ponieważ na klamrach były orły austriackie. Czapki rogatywki z orzełkami polskimi i na czterech jedna t. zw. kochmaszyna — pozatem ładownice, manierki, bandażę i t. p.

Pośpiech był wielki. Mówiono nam, że pociągi są już dla nas przygotowane, nie wiedzieliśmy tylko, na jaki front pojedziemy. Krążyły różne pogłoski, bo austriacy dostawali porządnie w skórę. Prawie wszystkie szpitale, szkoły i budynki rządowe w Krakowie były wówczas przepełnione rannymi z pod Kraśnika i Lublina, a Moskał zbliżał się do Przemyśla.

Nadszedł wreszcie tak długo wyczekiwany dzień naszego wyjazdu. Było to prawie na św. Michała roku 1914.

W ów pamiętny dzień wyjazdu miałem małą przygodę. Korzystając z wolnego popołudnia przed wymarszem, poszedłem pożegnać się z matką. Wprawdzie dostałem od niej parę groszy, jednak zdawało mi się, że to za mało. Co tu robić?! Przypomniało mi się, że mam jeszcze ciotkę zamieszkałą przy ul. Stolarskiej. Może ona mi coś „pożyczyć“? Ale jak tu od niej wycyganić? Wiedziałem, że jest trochę skąpa. Raptem wpadła mi dobra myśl do głowy. Byłem pewny, że nie wie ona, gdzie się dotąd obracałem. Biegnę więc na ul. Stolarską i dowiedziawszy się, że ciotka jest w domu, wpadłem prędko do jakiejś sieni, wyciągnąłem jeden

z wyfasowanych świeżo bandaży i owinałem sobie nim rękę. Ciotunia moja ujrzawszy mnie, jak nie ryknie! Dopytuje się, skąd się tu wziąłem. Zaczynam opowiadać bujdy, że jadę z frontu i zostałem ranny pod Lublinem, że niema miejsca w szpitalach krakowskich, odsyłają mnie przeto do Pragi czeskiej. Ciocia poczęstowała mnie herbatą i wypytuje o różne szczegóły, a mnie się spieszy. Jak tu zacząć i od czego? Mówię więc, że jadę tak daleko, a nie mam ani grosza. Wobec tego ciotka zdecydowała się dać mi jedną koronę. Daję jej do zrozumienia, że to trochę mało, dla puszczającego się w tak daleką podróż. Wreszcie po długich cierpieniach otrzymałem 5 koron, pożegnałem się więc



W okopach.

i wychodząc, w sieni, ściągnąłem bandaż, następnie wsiadłem w tramwaj i udałem się na Zwierzyniec. Ciotka, jak się to później okazało, nie pozostała również w domu, tylko czempredziej pobiegła zawiadomić o nieszczęściu mojego brata, kleryka, który był wówczas w Seminarjum Duchownem na czwartym kursie. Brata, nie w ciemię bitego, zdziwiło to, skąd ja, jako legjonista, mogłem być ranny pod Lublinem? I oto, kiedy maszerowaliśmy na dworzec kolejowy, około dawniejszej rogatki Zwierzynieckiej, zauważyłem mojego brata, który kiwał na mnie, ażebym podszedł do niego. Z miny jego poznałem, że już coś wie o moim kawale, dałem mu więc do zrozumienia, że nie mogę wyjść z szeregu. On jednak zwrócił się do dowódcy kompanji, prosząc, że

chce się ze mną pożegnać. Dowódca kazał mi wystąpić. Pożegnaliśmy się, ale zrobił mi tak ostrą wymówkę, za moje cygaństwo, że nie warto było nawet tych 5-ciu koron. Po pewnym czasie pisał mi, że ciotka, dowiedziawszy się o tem, okropnie pomstowała na mnie.

Ładowanie trwało prawie do północy, a wyjechaliśmy z Krakowa dopiero nad ranem, żegnani przez licznie zebraną publiczność.

Byliśmy na ogół dobrze wyekwipowani, nie mieliśmy jednak ani jednego naboju, a z karabinami nie byliśmy dobrze obznajmieni. Jadąc w stronę Cieszyna politykowaliśmy i zgadywali, dokąd nas wiozą. Przełożeni nasi też nie wiedzieli, lub też nie chcieli nam mówić. Powiedziano nam tylko tyle, że dopiero po stronie węgierskiej otrzymamy rozkazy od naczelnej komendy austriackiej, tam również otrzymamy amunicję. Kuchni polowych nie mieliśmy wcale. Nasz prowiantowy Gruby, obywatel krakowski, wiozł garnki, kotły i prowianty.

Na większych stacjach otrzymywaliśmy pożywienie.

Przejechaliśmy Cieszyn, Koszyce i jechaliśmy podkarpackiem po stronie węgierskiej. Pociąg wciąż przystaje, jedzie, to znów wraca w przeciwną stronę. Nie możemy się zorientować, dokąd jedziemy. Wreszcie przyjechaliśmy na jakąś stację, gdzie mamy wysiadać. Miano nam rozdać amunicję, która znajdowała się w wagonie przyczepionym gdzieś po drodze do naszego pociągu. Przy wydawaniu jednak okazało się, że amunicja ta nie pasuje do naszych karabinów, tylko do Manlicherów M. 95. Wagon ten przyczepiono do nas omyłkowo, zaś nasza amunicja została wysłana gdzieindziej. Na owej stacyjce panował straszny bałagan. Ładowano w pośpiechu różne rzeczy na pociągi. Nam kazano z powrotem wsiąść do wagonów. Ruszyliśmy. Już drugi dzień trwała ta podróż. Wieczorem posnęliśmy w wagonach. Dowiedzieliśmy się następnie, że moskale przeszli Karpaty, my zaś, nie posiadając amunicji musieliśmy wyrwać, ponieważ stacja wspomniana zagrożona była przez strażę przednie oddziałów rosyjskich.

Po przyjeździe na jakąś małą stacyjkę kolejową wyładowano nas z pociągu, gdyż moskal się zbliżał. Był tam już drugi bataljon naszego pułku. Dowiedzieliśmy się, że III i IV baony są już w drodze za nami. Pułkownik Zieliński był już na miejscu i powitał nas gorącym przemówieniem, zaznaczając, że zaczynamy walczyć z odwiecznym wrogiem — moskalem. Wojska austriackiego wcale tam nie było, trochę tylko żandarmerji węc-

gierskiej, która wstrzymywała patrole kozackie, wywołujące straszny popłoch między tubylczą ludnością. Witano też nas i przyjmowano z taką radością, że aż niektórzy płakali z uciechy, gdy dowiedzieli się, że jesteśmy Polacy, a do tego legjoniści. Uważano nas nieledwie za śpiących rycerzy z legendy, którzy spali gdzieś w Karpatach od czasów walk kościuszkowskich i gen. Bema.

Dostajemy nareszcie amunicję. Ładne pigułki, które gdzieś błądziły za nami przez pomyłkę. Kilka krótkich pouczeń, jak się ładuje. Zabieramy swoje meble na plecy i maszerujemy marszem forsownym przez kilka wiosek madziarskich, witani i częstowani orzechami, oraz różnemi trunkami, jak śliwowica węgierska i wino. Po przejściu kilkunastu kilometrów, pada komenda „stój”. Ładujemy broń, wyznaczono ubezpieczenie, szpice i maszerujemy dalej marszem ubezpieczonym przez góry i lasy.

Ja otrzymałem pewne zadanie. Pluton I-szy został wyznaczony, jako straż przednia, a ponieważ rozumiałem trochę po węgiersku, gdyż przebywałem kilka lat na Węgrzech, musiałem więc pełnić funkcję tłumacza i objaśniać przewodników, w jakim kierunku i którą drogą mają nas prowadzić, gdyż zachodziliśmy na tyły kozakom, aby ich odciać od sił głównych. Znajdowaliśmy się w okolicach Maramaros-Sziget, gdzie już kozacy urzędowali po swojemu. Doszliśmy do pewnej miejscowości, której nazwy nie przypominam sobie, a gdzie znajdowały się saliny i dokąd prowadziła kolejka wąskotorowa z Maramaros-Sziget. Miasteczko to widniało w dolinie, pod nami. Kompanja rozdzieliła się w ten sposób, aby wejść z trzech stron i zająć kozaków, znajdujących się tam, lecz oni, zważawszy pismo nosem, uciekli. Ludność ze strachu przed rabunkiem i gwałtem kozackim schroniła się w góry i tu znienacka została zaskoczona przez nas, a że takiego wojska z rogami na czapkach jeszcze nie widziała, wzięła nas za moskali i krzycząc poczęła uciekać. W ten sposób wypłoszono kozaków z miasta, którzy mieli być naszym pierwszym trofeum. Skoczyłem prędko do jednego madziara, złapałem go i wytłumaczyłem łamaną węgierszczyzną, co my za jedni. Zrozumiał, pobiegł do miasta i uspokoił nieco ludność miejscową. W chwilę później wkroczyliśmy tam z trzech stron witani okrzykami: „Eljen a Lengyel katonak!” co znaczy po polsku „Niech żyją polscy żołnierze!”. Obsadziliśmy miasteczko pomęczeni i głodni, nie mając kuchni polowej. Powystawialiśmy placówki i zakwaterowawszy się czekaliśmy na dalsze rozkazy. Ludność miejscowa nie spała tej nocy. Gotowali gulasz węgierski — jak kto mógł tak

starał się dogodzić legunom. Najbardziej uwijał się koło nas dyrektor tamtejszej warzelni soli, czuwając, aby nam na niezem nie zbywało. Ja byłem największą ofiarą, jako tłumacz i kwarturmistrz, musiałem być bowiem wszędzie, i opowiadać skąd przyszlismy, ilu nas jest i że wypędzimy moskali z Węgier. Bujalem, jak mogłem i jak się tylko dało. Opowiadałem, że moskali pędzimy od samego Budapesztu, choć jeszcze na lekarstwo nie widziałem moskala. Nie wiem, jak długo bym tak bujał, ale kres temu położyło wino, które mnie zmęczonego uspiło.

Nazajutrz rano doszły wieści od naszego wywiadu, że moskale (i to większe siły) grupują się niedaleko od miejsca naszego postoju i że Maramaros-Sziget zostało przez nich zajęte, ponieważ było słabo bronione przez austriaków. Nasze dowództwo wzmocniło placówki i wysłało patrole w różnych kierunkach.

Jeden z patroli (do którego i ja należałem) składający się z 12-tu ludzi i przewodnika, miał za zadanie przejść na tyły grupujących się moskali i zbadać ich siłę.

Miejscowość, o której mowa, nazywa się Rónaszek. Wyszliśmy więc z Rónaszek wczesnym rankiem. Nasz przewodnik skręcił od gościńca i poprowadził nas na bliższe drogi przez góry i lasy. Szliśmy tak, jak tylko w górach można iść najszybciej. Mgła zgęstniała i zaczął padać śnieg. O godz. 9-ej dotarliśmy do pewnego punktu w górach. Poczuliśmy się posuwać w dół ostrożnie. W pewnej chwili usłyszeliśmy jakieś gwary. Dostaliśmy trochę cykorji, ponieważ nie było komendanta, któryby prowadził patrol i był odpowiedzialny za niego. Mnie się dość słuchali, bo jako tłumacz wiedziałem, w jakiej się sytuacji znajdujemy. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy wysłać na zwiady naszego przewodnika. Miał on dowiedzieć się, co słychać na dole: czy rzeczywiście grupują się siły nieprzyjacielskie i z której strony można je obejść, ażeby zbadać ich ilość. Mgła o tyle nam pomagała, że mogliśmy się pod jej osłoną posuwać niedostrzeżenie, z drugiej jednak strony nie dzięki niej nie widzieliśmy na dalszą odległość.

Przewodnik odszedł, dobrze pouczony, kiedy ma wrócić do nas. Czas upływa — przewodnika nie widać. Postanowiliśmy we dwóch zejść na dół — reszta miała oczekiwać w pogotowiu. Słyszymy coraz wyraźniejsze głosy, wreszcie ujrzelśmy chatę góralską — obok widniała druga. Usłyszeliśmy wyraźnie rozmowę prowadzoną po rusku. Schodzimy dalej śmieiej — spotykamy starą rusinkę, od której dowiadujemy się, że „na dołyni je moskaliw bohaćko“. Na dalszą indagację opowiada, że „staryj buł na

dołyni i widił bohaćko kozakiw — jedni żyły, drihi sydiły na koniach — więcej ne mogliśmy ani słowa od zatraconej baby wyciągnąć i postanowiliśmy zejść jeszcze niżej. W miarę schodzenia mgła rzedła i usłyszeliśmy turkot wozów. Nareszcie mgła podniosła się zupełnie do góry i, ukryci w krzakach, mogliśmy spokojnie obserwować dolinę, gdzie po drugiej stronie rzeki panował wielki ruch. Przy moście ujrzelśmy 4 armaty, gotowe do strzału w kierunku Rónaszek. Siły moskali nie mogliśmy ocenić, gdyż konie pomieszane były z wozami, dalej wieś — za wsią las, skąd często wyjeżdżali jeźdźcy, lub też wracali tam z powrotem. Nie wiedzieliśmy, co począć? Siedzieć w krzakach nie wypada — zejść na dół — zostaniemy spostrzeżeni. A może nasz przewodnik zdradził (djabli wiedzą, co on za jeden).

Pomyślałem sobie, że ci, co pozostali na górze, mają pewnie również, jak i ja pietra, bo też pierwszy raz w życiu jestem na wojnie. Mój Boże! nie było to, jak w Krakowie! To była wojna!... Człowiek leciał do szturm na ślepo — wsadził bagnet do drzewa — i już nieprzyjaciela nie było. Mówię do mojego kolegi: „Lepiej było siedzieć w Krakowie, aniżeli tu w krzakach“. On wlepił ślepią przed siebie i powiada: „Patrz!“ „Co tam?“ Widzimy, że wyjechała sotnia kozuniów... wali do wsi... wstrzymuje się przed mostem, przeprawia przez rzekę i rusza kłusem w stronę Rónaszek.

Nie namyślając się długo, jazda na górę ostrzec naszych. Po drodze ujrzelśmy naszego przewodnika, który nas szukał. Nasi byli już niespokojni. Od przewodnika dowiedzieliśmy się, że siły rosyjskie składały się z dwóch bataljonów piechoty, pułku kozaków i sześciu armat, ale, jak zapewniał, było z nimi krucho, gdyż mieli drogę odciętą od swej siły głównej. Po pewnym czasie marszu, przewodnik przyznał się nam, że zmylił drogę, ponieważ śnieg zasypał wszystkie znaki. Zmęczeni, mokrzy, i zziębnięci nie wiedzieliśmy co począć, aby jaknajprędzej dotrzeć do swoich. Zaproponowałem zejście na dół, na co zgodził się i nasz przewodnik. Po przejściu jakich 600 metrów wśród koziółkowania i zapadania się w śniegu, przewodnik zawołał: „Isten! Tudja, hol van az ut!“ (Boże! wiem, gdzie jest droga). O godz. 5-ej znaleźliśmy się na skraju lasu i wysłaliśmy naszego przewodnika do miasteczka, żeby się dowiedzieć, czy po drodze niema kozaków, słyszeliśmy bowiem podczas powrotu strzały karabinowe, gdzieś w pobliżu, jak gdyby się patrole ścierały. W miasteczku kompanji naszej już nie było, lecz dowódca zostawił nam rozkaz udania się do Maramaros - Sziget, gdzie mie-

liśmy się dowiedzieć o ich pobycie. Ludność dowiedziawszy się od naszego przewodnika o naszym powrocie i tarapatach podczas patroli, chciała nas gościć, lecz dyrektor żup solnych sam się nami zaopiekował, zarządził kąpiel, dał nam cywilne ubranie, podczas gdy mundury nasze suszyły się. Po napełnieniu żołądków poszliśmy spać.

Nazajutrz rano nie byliśmy zdolni do dalszej drogi, bo mieliśmy popuchnięte nogi, a kolejka jeszcze nie kursowała. Otrzymaliśmy wiadomości, że moskał osaczony, chce się przebić na Karpaty i cofnąć do Galicji, czekaliśmy więc spokojnie 2 dni na uruchomienie kolejki.

W Maramaros-Sziget panował duży ruch, wojsko znajdowało się tam w większej ilości. Zapytany przez nas jakiś oficer austriacki, (który pod bączkiem na czapce miał naszego orzełka), gdzie znajdują się nasi, odpowiedział, że właśnie w tej chwili fasują żywność w domu przy cerkwi.

Dobrześmy trafili, bo akurat nasz obywatel Gruby wraz ze swym synem fasował prowianty dla naszego bataljonu. W dwie godziny później jechaliśmy do swoich na wozach prowiantowych, dostarczonych przez magistrat. O godz. 4-ej meldowaliśmy się już u naszego dowódcy, zdając raport z patrolu. Komendant był zadowolony.

Po dwóch dniach przyszedł rozkaz odmarszu. Przechodziliśmy przez góry i wioski o ludności rumuńskiej. Przed nami toczyła się bitwa.

Nasze przednie oddziały zcierają się z tylnymi strażami nieprzyjacielskimi, osłaniającymi odwrót sił głównych na Karpaty. Jeźdźcy meldunkowi z głównego naszego dowództwa uwiązują się z rozkazami. Po drodze, po rowach pełno trupów poległych czerkiesów.

Na rozkaz pułkownika Zielińskiego nasz bataljon pod dowództwem Żegoty - Januszajtisa zbacza z drogi na prawo. Jedna z kompanji rozwija się i ubezpiecza, reszta maszeruje w kolumnie dalej, przez góry naprzelaj. Przez kilka dni takiego marszu nie napotkaliśmy nigdzie moskali — bardzo się to nam nie podobало. Odczuwaliśmy dotkliwie brak żywności, gdyż tabory szły inną drogą i nie zawsze na czas się zjawiały. Żywiliśmy się przeważnie śliwkami, które w tamtych stronach są bardzo smaczne i wielkie. Marsze trwały przez cały dzień, nocą tylko zatrzymywaliśmy się na krótkie odpoczynki. Na kwaterach musieliśmy nieraz mieścić się po 50-ciu w jednej izbie. Kto pierwszy wpadł do chaty, ten wyszukiwał sobie wygodniejsze spanie, gdzieś na

piecu lub na ławce. W izbach panował brud i zaduch, dzieci i dorośli siedzieli tam tylko w koszulach na piecu i ławach. Wychodząc z izby, kładli na siebie kożuch, wiszący przy drzwiach. W lecie chodzili po polu w koszulach, a mniejsze dzieci nawet nago. Sypiają na piecach całą rodziną t. j. ojciec, matka, córka, zięć i dzieci. Tu też zafasowaliśmy pierwsze blondynki o czarnych grzbietach, które już do końca wojny nie opuszczały nas.

Tak maszerując, doszliśmy trochę pieszo, trochę kolejką do Kiralyháza, a następnie do polany u podnóża Pantyrskiej przełęczy.

Pomimo ciężkich warunków marszu, zimna i głodu, nie brakło w szeregach naszych humoru. Sprzyjały ku temu różne przygody na kwaterach, jak, noclegi z cielętami i t. p.

Pewnego wieczoru wyznaczono nam dla całego plutonu jedną chatę na nocleg. Ponieważ nie miałem jeszcze szczęścia ani razu dobrze się ogrzać i wyspać, walę pierwszy do chaty i włączę na piec, nie zważając na krzyki bab i dzieci, które leżały, trzęsąc się ze strachu.

Usadowiłem się na samym środku, a tu za mną pcha się drugi, trzeci, czwarty. Wołam, że się piec zawali, ale oni pchają się dalej, baby skuliły się w kącie, ciasno tak, że ruszyć się niepodobna. Raptem, tak jak przewidywałem, piec zawalił się pod ciężarem i wpadłem tylnią częścią ciała w dziurę, a że tornister trochę mnie podtrzymywał, więc wkrótce usnąłem.

Kiedy się przebudziłem rano, było duszno i uczułem jakiś ciężar na piersiach. Macam ręką, co za zmora mnie tak gniecie, i czuję nogę babską powyżej kolana. Myślę sobie: czemu nie? — jeżeli to jeszcze jaka młoda, to nic, ale jeżeli stara, to niech ją cholera! Gdy się zaczęło robić widno i trąbka zagrała na zbiórkę, gramolę się z dziury w piecu, lecz przygniatającej mnie nogi nie mogę usunąć. Spojrzałem na jej właścicielkę, lecz, o zgrozo! była taka stara choroba i brzydka, że palnąłem ją nieco wyżej i w ten sposób uwolniłem się od tych miłych więzów. Lecz cóż, kiedy nie mogłem się wyprostować, bo prawie całą noc spałem skurczony, dopiero po jakim kilometrowym marszu rozprostowałem się.

Koledzy, oczywiście, wzięli mnie na języki i dokuczali mi, pytając, jak mi się spało z babą na piecu.

Przełęcz Pantyrska, to szlak II-ej Brygady Leg. Pol. robota tam wre — robi się droga. Jest to pomysł jednego legionisty-inżyniera, aby przebić się na drugą stronę Karpat.

Po jednodniowym wypoczynku wyruszyliśmy tamtędy. Niektóre kompanje przyszły już tam wcześniej. Jedna z nich wysłała

silny patrol na stronę galicyjską do Rafajłowej, który znienacka napadł moskali. Zrobił się między nimi straszny popłoch, gdyż po cofnięciu się z Węgier nie przypuszczali, że będziemy ich ścigać. Patrol ten po ucieczce moskali zajął wieś Rafajłową i ubezpieczył się tam. Prawie wszystkie nasze oddziały przeszły przełęcz Pantyrską i zeszyły do Rafajłowej, moskale zaś w popłochu cofnęli się w stronę Nadwórnej, pozostawiając dwie armaty i tabor. Tu nam jednak bieda zaczęła na dobre zaglądać w oczy. Prowianty w postaci konserw i sucharów, otrzymane po stronie węgierskiej, wyczerpały się wkrótce, a co gorsza, zabrakło tytoniu i papierosów. Paczkę tytoniu do fajki, która kosztowała normalnie 8 halerzy, można było nabyć za cenę jednej korony od żołnierzy austriackich, którzy przysłani byli do robót drogowych na przełęcz Pantyrskiej.

Przez pięć dni robiliśmy wypad, wysyłaliśmy patrole. Moskal usadowił się w Nadwórnej i czekał, w Pasiecznej zaś wystawił przednie straż. Nie mieliśmy już prawie nic do jedzenia — gotowano nam tylko mięso raz na dzień bez żadnych jarzyn, a i tego zaczynało brakować, bo nie było gdzie rekwirować bydła. O chlebie nie było nawet mowy.

Po pewnym czasie droga była prawie już gotowa, tak, że mogły przejść konie jucze. O wozach narazie nie mogło być mowy. Tabor nasz stał na samej przełęczy — na polanie, tam gdzie obecnie stoi krzyż, wystawiony na pamiątkę przejścia 11-ej Brygady. Jednak koni było za mało, aby normalnie zaprowiantować, stojące na dole oddziały legionowe. Musieliśmy poprzestać na skromnym posiłku, choć wiedzieliśmy, że po drugiej stronie przełęczy nagromadzone są prowianty w dużej ilości, jak: chleb, suchary, konserwy mięsne, wino, rum, tytoń i t. d.

Ciągłe alarmy i pogotowia, jak również wypad nocny męczyły nas bardzo. Moskale ciągle nas z różnych stron napadali. Wzięci do niewoli kozacy, opowiadali, że ich oddziały każdego schwytanego legionistę wieszają. Wobec tak miłej perspektywy mówiliśmy, że raczej lepiej strzelić sobie w łeb, niż dać się wziąć żywcem. Piechota rosyjska jednak odsyłała jeńców na tyły, skąd nie jednemu udało się przy pomocy miejscowej ludności uciec i powrócić do swoich szeregów. Nadszedł dzień, w którym zrobiliśmy wypad na większą skalę. Wyszliśmy z Rafajłowej do Zielonej i dalej do Pasiecznej. Bitwa już wrzała. Pułk trzeci nawiązał styczność z nieprzyjacielem. Drugi pułk narazie w rezerwie. Stoimy w jakiejś wiosce skuleni pod płotem. Świsł kul robi jeszcze na nas, mało ostrzelanych, silne wrażenie. Gdzieniedzie

pada ranny. Dowódca kompanji Korczak dostał bicia serca, i mówiąc, że jest chory, wycofuje się na tyły. Zastępstwo obejmuje najstarszy dowódca plutonu.

Pułkownik Zieliński, chodząc po drodze dodaje nam otuchy i powiada: „Nie kłaniajcie się tak, kulki lecą górą“. Kule lecą dalej — wiara wciąż się pochyla. Pułkownik Zieliński znów zwraca się do nas: „Zaraz i my się pójdziemy zagrzać!“. Widząc, że dziewczyna jakaś przyniosła wody rannemu i płacze — pyta: „Czego ty płaczesz? Boisz się, albo ci chłopaka żal?“ a ona na to: „Wszystkich ich żal“ — powiada. „No, wiesz co, wszystkich ci zostawić nie mogę — odparł płk. Zieliński — ale wybierz sobie jednego, to ci go zostawię“ i odwrócił się.

(C. d. n.)

NOCNA WYCIECZKA

Są w akcji wojennej naszych Legjonów niektóre czyny tak świetnie lapidarne, tak wyjątkowo znakomite i szczęśliwe, że nie należy i nie można poprostu ich czynić w kwiecistym opisie. Ich prostota i stanowczość najlepiej się wyjawia, streszcza w schematach wojskowego opisu, — w zadaniu, w rozkazie i w raporcie.

Do takich czynów klasycznych należy niewątpliwie nocna akcja III kompanji (Wojsznara) I bataljonu 1-go pułku piechoty I Brygady Legjonów.

Kompanja ta otrzymała rozkaz przejścia w nocy przez Nidę, zajęcia wysuniętych na drugim brzegu okopów rosyjskich, zabrania znajdujących się tam Rosjan i zniszczenia danej części okopów nieprzyjacielskich.

Przejść w nocy przez Nidę, znaczy to, stanąwszy po drugiej jej stronie przy czujności nieprzyjaciela stanąć wobec przeważającego jego ognia. Zająć jeden z wysuniętych okopów znaczy to, jedno rozwidlenie całej sieci odciąć, ludzi tam znajdujących się wybić i wziąć do niewoli, walcząc na terenie, który nieprzyjaciel zna jak najdokładniej, a który samemu można było zaledwie poznawać we dnie przez lornetę.

Była to więc przeprawa, połączona z trudnościami terenu, wobec możliwości ogromnej przewagi liczebnej wroga i z prawdopodobnem odcięciem odwrotu. Na wypadek tego ostatniego, kompanja Wojsznara miała być, zajawszy okopy nieprzyjacielskie, bronić się w nich, czekać dnia i ewentualnego przerzucenia mostu przez Nidę.

O godz. w pół do dziewiątej wieczorem 3 maja kompanja III z czterema sanitariuszami, dziewięciu saperami stanęła koło ruin opodal miejsca wymarszu. Była to chwila podniosła. Przed oddziałem w głębi nocy leżała tam w okopach rosyjskich albo śmierć albo sława i zwycięstwo. Przedsięwzięcie było tak harde, śmiałe, że pośredniego wyjścia być nie mogło.

Kapelan pułku 1-go, ks. Żydkiewicz udzielił oddziałowi bło-

gosławieństwa i absolucji. Mowa komendanta kompanji była krótka i zwięzła: „Chłopcy! Pamiętać! Trzecia kompanja — psia krew!...”

Przedtem jeszcze wydał porucznik Wojsznar ostateczne rozkazy swym szarżom.

Kompanja podesunie się w zupełnej ciszy pod przeprawę w następującym porządku: 1) Patrol z 6 ludzi pod komendą ppor. Boreckiego z przewodnikiem i por. Dąbrową; 2) reszta plutonu 3-go w odległości 60 kroków za patrolem dwójkami; 3) dalej pluton drugi, saperzy i pluton pierwszy.

Dalsze rozkazy: „Po znalezieniu przeprawy podpor. Borecki z 6—10 ludźmi przeprawia się na drugą stronę Nidy jak najśpieszniej i uderza bagnetem na rosyjski posterunek, nie pozwalając mu na zaalarmowanie. Po zajęciu posterunku przeprawia cały swój pluton i ochrania przeprawę.

Front tego plutonu zwrócony będzie ku drugiej linii okopów, dalej położonej w stosunku do atakowanej. Ta druga linja mogła być flankować gros kompanji Wojsznara, względnie odciąć jej przeprawę i odwrót. Tego miał bronić por. Borecki, osłaniając atak całej kompanji i jej przeprawę aż do wycofania ostatniego żołnierza.

W ślad za plutonem Boreckiego dwa drugie plutony z saperami biegiem posuwają się ku rozwidleniu atakowanych przez siebie okopów nieprzyjacielskich. Sekcja czołowa odcina jedno ramię tych okopów, jednocześnie reszta, — biegnąc dotąd bokiem — zwraca się frontem do atakowanego przez się odcinka, zajmuje Moskali, odsyła ich do przeprawy, minierzy zakładają miny, na dany znak podpalają je, a wówczas półkompanja śpiesznie wraca do przeprawy pod osłoną sekcji, która poprzednio zamykała okop od dalszego jego połączenia z nieprzyjacielem.

Wykonanie tego trudnego przedsięwzięcia dzięki zimnej krwi i spokojnej sprawności oficerów i żołnierzy udało się znakomicie.

„O godz. 9 minut 20 — głosi raport — doszliśmy do przeprawy. Słysząc kaszel po przeciwległej stronie. Po 10 minutach znaleziono przeprawę. Podporucznik przechodzi spokojnie z plutonem i zajmuje pozycje. Również spokojnie przeprowadzam za nim (t. j. por. Wojsznar) dwa plutony.

Według planu ruszamy biegiem do okopów. Nie dochodząc na 60 kroków do nich, słyszymy — „stoj — kto idiot”. — Na bagnety... Bierzymy dwóch jeńców. Lecąc dalej, słyszymy w okopach rosyjskich szmery. Koło topoli przy domach wedle X (numerowe oznaczenie punktu mapy) odcinamy okop. Małe szamo-

tanie się. Stawia opór oficer — pada, przebity bagnetem podof. Lecha. Żołnierze rosyjscy prawie bez karabinów — ogłupieli...”

Odbywa się cały szereg scen, pełnych tragikomicznej groteski. Wyciąga się Rosjan za pludry z kryjówek, ciągnie się ich za ręce, za nogi, podporucznik Pakosz maca w ciemności po głowach, by wedle czapek rozeznąć kto swój, a kto wróg”.

Lecz wróćmy do raportu porucznika Wojsznara.

„Z pierwszą partją jeńców wracam do przeprawy. Po drodze zatrzymuje nas na połowie drogi między zdobytymi okopami a przeprawą rosyjską wedeta, która zaczęła się podczas całej akcji nad Nidą. „Stój“, — Moskal strzelił, mnie bagnetem rozdarł spodnie. Wzięci do niewoli”.

Przeprawa trwała 20—30 minut, sama akcja 20 minut. Koło jedenastej byliśmy z powrotem.

Nie straciliśmy ani jednego człowieka i żadnego ładunku.

Jeden żołnierz lekko ranny bagnetem w rękę.

Oficerowie i żołnierze wykonali wszystko z pośpiechem i nadzwyczajną precyzją, dzięki czemu cała akcja została uwieńczona 62 jeńcami”.

Tak święciła I Brygada nad Nidą dzień, Trzeci Maja.

J. K.

DWA POWITANIA

Żalą się na nas niektórzy rodacy, że bywamy czasem nieprzyjemni w rozmowie, szorstcy, gwałtowni. Że ich traktujemy, jak tego — z przeproszeniem — kundla. „Tak się nie godzi — powiadają. — Przecież i my, właściwie, razem z wami do jednego celu... Zawsześmy cenili tę waszą — panie dzieju — ideowość... to poświęcenie, to zaparcie... tak, tak... stałe i nadzwyczajne. Że tam wprawdzie inna orientacja... no, każdy mieć może swoje przekonania... może się myli... ale poza tem my do was zawsze z całą, ten tego... sympatją, jak do tych kochanych braci, którzy dla tej Ojczyzny, dla tego Narodu“... i t. d.

Tak. Rzeczywiście bywamy czasem niegrzeczni wobec niektórych synów tego samego narodu, ale... nieraz sobie człowiek coś przypomni...

— — — — —

Było to dnia 13 maja 1915 r. Od poprzedniego rana maszerowała II Brygada ze stanowisk nad granicą bukowińską w kierunku Czerniowiec. Wiedzieliśmy, że gdzieś tam Moskale zrobili Austriakom dużą dziurę, że cały front się cofa i że jest kiepsko. To ostatnie czuł każdy doskonale na własnej skórze: nieprzyjaciół dogrzewał potężnie, a słońce jeszcze lepiej. Ludzie pomęczeni do ostatecznych granic — bo musieliśmy kawał drogi nieść na plecach skrzynie z zapasową amunicją, w pyle i w upale wlekli się na pół przytomni z wysiłku i z pragnienia. Pamiętam, że trzeba było uderzeniami kolby odpędzać żołnierzy, którzy rzucili się do śmierdzącej, przydrożnej kałuży. W nocy mieliśmy może dwugodzinny postój, a od świtu znowu ta sama historia, aż około południa, wśród ciągłych utarczek, zbliżyliśmy się do miasta.

Dla tych, którzy tam nie byli, wspomnę, że Czerniowiec leżą na wysokim brzegu Prutu i mają po drugiej stronie olbrzymią, pagórkowatą nizinę, na której właśnie rozgrywały się nasze ostatnie walki. Prawdziwy, wprost wymarzony teatr wojny dla dzie-

siatek tysięcy widzów i aktorów. Mieszkańcy mogli widzieć doskonale wojska, ich ruchy, manewry, taki denerwujący obraz, jak szarżę kawalerji rosyjskiej na nasze słabe bataljony, wogóle wszystkie szczegóły tego krwawego widowiska, nad któremi nie będę się rozwodził, bo pewno kiedyś ktoś dokładnie opisze, jak to było, jak powinno było być i coby było, gdyby...

Przechodziliśmy skrajem miasta na nowe stanowiska. Przychodzili ludzie z żywnością, z mlekiem, z czem kto mógł. Kobiety biegły za żołnierzami, wpychając im do kieszeni smakołyki, bo nie wolno nam było zatrzymać się. O pieniądze nikt nie pytał. A byli tam obcy: Rusini, Rumuni, Niemcy.

Nad ranem podszedł do mnie dowódca kompanji, por. Godziejewski, z przepustką w ręce:

„Pójdziecie, sierżancie, wzdłuż okopów — do miasta. Po drodze poszukajcie kuchni i niech natychmiast przyjeżdża, bo ludzie wściekle głodni. Macie pieniądze, kupcie tam dla naszej paczki, co się da, byle było dobre, a zwłaszcza wino. Należy się. A co do tego wina, myślę, że się na miejscu przekonacie, jakie ono jest“.

Przyjemny rozkaz. Zapomniałem o zmęczeniu i zostawiwszy zawartość plecaka i chlebaka pod opieką przyjaciela ruszyłem z szczerym zamiarem pokazania dowódcy, że swoje zaufanie złożył w godne ręce. Nie pomyślałem i o tem, że mój wygląd w tej chwili mógł znawcy literatury przypomnieć mickiewiczowski opis starszego zbójcy. Rzeczywiście, wszystko było, jak potrzeba: twarzyczka czekoladowa w ciemniejsze paski, kręcone wąsiska, i wzrok dziki i suknia plugawa. Ale ktoby się tam martwił: przecież szedłem do porządnego miasta, gdzie są fryzjerzy i woda kolońska i tyle innych dobrych, dawno nie widzianych rzeczy. Jak Boga kocham, co za porządny chłop ten porucznik!

Wszedłem w ulice około 5-ej rano. Miasto piękne, bogate, ale widać, że tędy wojna przeszła. Pusto, głucho. Bramy pozamykane, sklepy też, w oknach okiennice, a nawet tu i ówdzie deski, bruk niezamieciony, gdzieś porzucane kartony z naboi — uj, niedobrze. Jeżeli handełsy zwiali, pochowawszy zapasy, to jak ja będę wyglądał w kompanji?

Tak rozmyślając znalazłem się w śródmieściu i tu po raz pierwszy zobaczyłem ludzi. Pamiętam nazwę ulicy: Enzerbergerstrasse. Na jej rogu, po drugiej stronie stała grupka — dwie panie, kilku starszych mężczyzn, wśród nich jeden duchowny, wyglądający na pastora. Widocznie Niemcy. Wyszli pewnie zobaczyć w czyich rękach jest miasto.

Podszedłszy bliżej, miałem właśnie zamiar przejść na drugą

stronę i rozmówić się z nimi, gdy w tejże chwili zauważyłem, że ludzie ci zdejmują nagle kapelusze i pochyliwszy głowy, patrzą w moją stronę. Przyszło mi na myśl, że zapewne przechodzi tu gdzieś w pobliżu ksiądz z wijatykiem. Rozglądam się. Nie — pusto wszędzie. Niema nikogo, tylko ja i ta gromadka ludzi, patrząca na mnie w milczeniu, z kapeluszami w rękach. Nieruchomo zmiarkowałem, że to chyba dla mnie ta parada... i nie wiedziałem, co ze sobą robić. Ostatecznie jakoś tam zasalutowałem i zwałem czempredzej z tego miejsca.



W marszu.

Taki mi się zdarzył wypadek w Czerniowcach i nie było w tem nic nadzwyczajnego, jak się później przekonaliśmy. Pamiętacie zapewne, koledzy, jak tam szanowano „polnische Freiwillige“, jak serdecznie odnosili się do nas — ci obcy.

*

*

*

A teraz drugie wspomnienie.

Z końcem listopada 1916 r. przyjechał nasz 3 pułk do Warszawy. Szliśmy do niej przeszło dwa lata — dookolusieńka: z Krakowa przez Wadowice, z Maramaros - Sziget do Rafałowej, z Bukowiny cośkolwiek przez Bessarabję na Wołyń, stamtąd dla większej pewności do Baranowicz i nareszcie! Do ostatniej chwili nie wierzyliśmy, że naprawdę do Warszawy jedziemy; tyle razy

spodziewaliśmy się — napróżno. Mało kto z nas znał tę Warszawę, ale właśnie dlatego żołnierz nasz widział ją w myśli poprzez powstanie kościuszkowskie, r. 1831, 1863, 1905... Wprawdzie czasem niektórzy różnie o niej gadali, ale ktoby tam temu wierzył! W każdym razie ciągle się o niej mówiło, myślało, tęskniło się i z tego wszystkiego wytworzyło się w duszy żołnierza II Brygady wyobrażenie czegoś nadzwyczajnego: cudowne miasto, bohater-skie, przesycone uczuciem, o którym pojęcia nie mamy — my, biedne szaraki. Tam są dopiero ludzie, tam człowiek odżyje i nabierze ducha!

Z początku nie puszczano nas do miasta, aczkolwiek 90 proc. żołnierzy prosiło o przepustkę celem odwiedzenia chorej ciotki. Władze wyjaśniły, że takich twarzy i wogóle takich oberwań-ców — nie można pokazywać w stolicy, aż do chwili, kiedy wy-żej wspomniani staną się podobni do ludzi i do porządnego woj-ska. A więc — mycie, strzyżenie, golenie, czyszczenie, łatanie, maszerowanie po podwórku na „raz dwa“, salutowanie, a jakże — przedewszystkiem. „Pamiętaj Grzesiu jeden z drugim, że tu nie okopy, ani Kołomyja, tylko, uważasz synku — Warszawa — i na-gła krew lwowska cię zaleje, jeżeli...“ Tak tłumaczyli panowie szarża.

Nareszcie przychodzi wiadomość, że jutro będzie uroczyste wkroczenie do miasta i defilada. Co się w pułku działo, nie pró-buję opisywać, bo to dla mnie za trudne.

Na zbiórce powiada mi dowódca kompanji:

„Nie pójdziecie na defiladę. Mam dla was inne zajęcie. Przejdźcie się po mieście, zobaczcie, co się tam dzieje, posłuchaj-cie, co ludzie mówią, jakie wrażenie, jak wypadła defilada, jak kompanja maszerowała, wogóle nazbierajcie, co się da ciekawego. A weźcie mój aparat — może się uda zrobić jakie ładne zdjęcie“.

Przyjemny rozkaz. Oczywiście wynoszę się natychmiast z ko-szar i chodzę, patrzę, gdzie mi się podoba. Wszystko mi się po-doba, wszystko ładne: Brama triumfalna jest, ogromna, orły, chorągwie na domach, a jakże; trochę może mało, ale nic dziw-nego — tyle czasu byli w niewoli, więc jeszcze nie zdążyli się zaopatrzyć; ludzi dużo — oglądają się za mną, ale czasem patrzą tak jakoś dziwnie... może mi się tylko zdaje. Ładny dzień!

Okolo południa spotkałem na Krakowskim Przedmieściu starego kompana, kaprała B. z szwadronu Wąsowicza, jednego z uczestników słynnej szarży. Dawnośmy się nie widzieli, więc serdeczne powitanie i wymiana grzeczności, jak to jest we zwy-czaju u dżentelmenów: „Cześć pana obywatela! Ach, jak przy-

jemnie“. „Czołem pana właściciela! Jak się tam chodzi “ „Dziękuję uprzejmie, przyjdę akuratnie! A jak cenne zdrowie szanownej kobyły “ i tak dalej — pogawędka, papierosik.

Tymczasem ludzie zaczynają przystawać na brzegu chodnika i patrzą w stronę Nowego Świata. Czyżby to już nasi. Ale nie. To oddział piechoty niemieckiej maszeruje, zapewne na zmianę warty.

Właśnie przechodzili, kiedy stojący w pobliżu jakiś elegancki jegomość obrócił się ku nam i wskazując na nich, ze szczególnie uprzejmym i zjadliwym uśmiechem zapytał:

„Przepraszam najmocniej szanownych panów, czy to są także tak zwani „polscy legjoniści?“ — i zniknął, nie czekając na odpowiedź.

Krew uderzyła mi do głowy, towarzysz mój też osłupiał. Stał się chwilę bez ruchu, aż wreszcie ułan pierwszy odzyskał mowę i rzekł z westchnieniem:

„Szkoda. Nie zdążyliśmy dać w mordę“.

*

*

*

Tak, tak, mili rodacy. Bywamy wobec was niegrzeczni, ale cóż robić? Czasem sobie człowiek coś przypomni...

WSPOMNIENIA Z KOZIENIC

Było to w Kozienicach. Daty dokładnie nie pamiętam, w każdym razie miało to miejsce na początku 1916 r. Zresztą nie będę tu operował datami, ani też nazwiskami, lecz faktami, może trochę „ubranymi“, aby się lepiej czytało.

Otóż w tym to czasie, kiedy wiara „zębami“ dzwoniła, od „wentylacji“ aż nadto przewiewnej w koszarach, jeśli te szopy można było nazwać koszarami, „wypadły“ nam jakieś karne ćwiczenia i to za taką „błahostkę“, jak chęć puszczenia „z dymem pożarów“ naszych koszar, czy coś podobnego... Nasz komendant kompanji ob. K. miał nam wstawić „serdeczne jaja“ tak, że nieśliśmy go długo popamiętać. Każdy, jak mógł miną nadrabiał, a że to i djabło zimno było, więc też nic dziwnego, że wiara zaczęła się „denerwować“ i bić rączyskami dla rozgrzewki i... otuchy.

„...Baczność!... Spocznij!... Baczność!... Odlicz!... Na ramię broń!... Czwórki w prawo - kompanja - marsz!... Raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa, trzy... Nie gadaj!... Stul pysk!... Oj, źle... ten i ów „złapał“ trochę powietrza... „Rozwinięty wprzód na lewo...“ czy coś podobnego padło, „nasza“ kompanja maszeruje wysznurowana, od czasu do czasu załamuje się jak harmonijka w najróżnorodniejsze łamańce, ale to nic, bo nie na tem koniec... „Równaj do jasnej cholery...“ I to jest „rozwinięty“, a niech was połamie sakramenckie ofiermy... „Padnij“... „Powstań“... „Padnij“... „Powstań“... i tak bez końca... W tem słyhać szmer „niezadowolonia“... Ten i ów „śmielszej“ natury podniósł z pozycji leżącej łeb do góry, dla zorjentowania się w sytuacji, która stawała się coraz nieznosniejszą i jak na złość coraz szybsze „Padnij — Powstań“, aż wiara w śniegu brzuchami dziury porobiła.

Wtem przeszedł przez szeregi „tajny rozkaz“: „Jak padniemy — nie powstawać“. Dobrze - gut - gotowe... „Padnij“... wszystko klap, jak jeden mąż. „Powstań — była komenda“ — krzyczy porucznik... Nic... cisza nie na żarty. Zamaszyście wyjął szablę i wpadł jednemu na „tyły“. „A ty dlaczego nie wsta-

jesz na komendę — powstań?“... A cóż to, sam będę wstawał, niech drudzy wstaną, to i ja wstanę — brzmiała odpowiedź.

Tu cierpliwość porucznika zaczęła się wyładowywać. „Zaczekajcie wy byki, ja was biegiem umęcę“... Powoli padła komenda: „P-o-w-s-t-a-ń“. Wiara się podniosła, otrzepała ze śniegu i naprędcie, jeśli wogóle u nas się co prędko robiło — wyrównała.

Po kilkuminutowem marszowem ćwiczeniu pada komenda: „Kompanja w tyraljery... Bagnet na broń... Nieprzyjaciół — jak ta wieś przed nami... Kompanja — do ataku — biegiem — marsz!“... Na to tylko chłopcy jakby czekali. Każdy — miał tylko na „kierunek“ zwrócone oczy... I nie nie „powstrzymało ryce-rzy“, aż wieś została „zdobyta“... Nic to że „porucznik chłop mo-



Fasunek.

rowy“ gwizdzie na „odwrót“. Nic to, że klnie siarczyście na czem świat stoi. Wiara za wszelką cenę postanowiła „kochanemu“ komendantowi zdobyć wieś i... zdobyła — pozostawiając dowódcę w szczerem polu z sierżantem sztabowym... Posiliwszy się trochę mlekiem — chłopcy — pojedynczo od prawego zaczęli chyłkiem ścigać do koszar...

Co się później działo, nie wiem, bo gdy przyszedłem, zarządzona była zbiórka bataljonu i kolejno wyczytywali nazwiska mających odjechać na... front, by walczyć o Wolność Ojczyzny — wspominając „ciężkie“ chwile na... „tyłach“ przyżywane.

GAWĘDY LEGUNÓW MIĘDZY SOBĄ.

II.

(Ciąg dalszy)

W parę dni po moim przyjeździe z Komendantem z Myślenic do Krakowa byłem świadkiem ciekawego zajścia na rynku, które poniżej opiszę:

Tak jakoś złożyło się szczęśliwie, że cudem jakimś przybyła mi forsa, nie przypominam sobie już dziś skąd i od kogo, najważniejsze, że była, a jak była forsa, to trzeba się trochę rozerwać i poszedłem na kolację do Hawelki, którą mocno zakrapialiśmy wódecznością wraz z kolegami - strzelcami, których poznałem w „Oleandrach” tego samego dnia. Jeden był ze Lwowa, a drugi Adam K. kolega jeszcze z ławy szkolnej, rodowity krakowiak — bardzo miłe chłopaki, tylko, że już podczas kolacji często sobie wypominali jeden drugiemu, a zwłaszcza, gdy rozmowa zesłała na temat wymowy. Lwowiak, zaperzony, swym śpiewnym akcentem wciąż krakusowi klarował, że, gdy mówi, to ciągnie! Ten zaś, gdy to usłyszał, twierdził przeciwnie. W miarę wypitych wódek spór robił się coraz głośniejszy, tak, że uważałem w końcu za najlepsze, byśmy lokal opuścili i szli spać, tem bardziej ze względu na dość późną porę, chociaż przepustki mieliśmy do rana.

Lokal wówczas był otwarty, dopóki siedzieli w nim goście, a nie, jak obecnie do pewnej ściśle określonej godziny.

Awantura na dobre, o to, kto właściwie ciągnie, zaczęła się dopiero po wyjściu z lokalu — na Rynku i nie wiem, jakby się skończyła, gdyby nie interwencja obywatela z czerwonym sznurkiem (pewnego warszawiaka), który, nie czekając na patrol, sam odprowadził wszystkich trzech do „Oleandrów” i zapisał do raportu. Nazajutrz, ci co „ciągnęli” zostali zwolnieni od winy i kary, a ja otrzymałem 2 godziny karnej stójki pod karabinem. Za co

właśnie ja, a nie żaden z nich, do dziś dnia nie wiem — może właśnie za to, że nie ciągnąłem. Wyrok jednym słowem salomowny!

*

*

*

Pewnego razu jesienią 1914 roku, wezwany zostałem do „K. u. K. Festungskommando Krakau“. Po przybyciu i zamel-dowaniu się, otrzymałem instrukcje żebym był przygotowany do wyjazdu. Dystans 500—400 klm. (Komenda austriacka wiedziała, że nasza brygada stała wtedy pod Szczucinem — Dąbrową). Bliższe informacje i rozkazy otrzymam przed samym wyjazdem, który ma nastąpić około północy, od dyżurnego oficera kpt. N. N.

Stosownie do rozkazu, stawilem się o oznaczonej godzinie. Otrzymałem szczegółowe informacje co do drogi, pisma do naszego sztabu, by wręczyć je Komendantowi. Jako osłonę przydzielono mi jednego landszturmaka - pepika i porucznika od węgierskich honwedów, którego według otrzymanego rozkazu dowieźć miałem do Jaślan, via Dębica. Ze względu na to, musiałem obrać ten kierunek drogi, a nie inny.

Wyjechałem parę minut po godzinie dwunastej z Krakowa. Na moście podgórskim posterunek sprawdził nam przepustki i w pół godziny później mknąłem przez puszcę niepołomicką na Bochnię, Brzesko, Tarnów, Dębicę, gdzie przybyłem około godziny trzeciej w nocy.

Honwed na migi, bo inaczej się z nim dogadać nie można było, pokazuje że jest głodny, i żeby jechać do jakiej restauracji, najlepiej na dworzec kolejowy, to zje kolację i zaopatrzy się na drogę w prowianty.

Niestety... i na dworcu w restauracji dostać nie można było nic, ponieważ przejeżdżające wojskowe transporty w jedną i drugą stronę, wykupiły prawie wszystko co można było dostać!

Jedynie udało nam się kupić parę papierosów, i wyszliśmy z niegościnnej restauracji II klasy, by na głodno jechać w kierunku Jaślan, gdzie jak już wspomniałem, stosownie do rozkazu otrzymanego, pozostawić miałem p. „leutnanta od honwedów“.

O tyle mieliśmy kłopot wszędzie, że w żaden sposób nie można było się z nim rozmówić, bo nawet ani słowa nie rozumiał po niemiecku, co tylko u Węgrów się zdarzyć mogło!

Po wyjściu z dworca podszedł do nas jakiś tuziemiec mojąszewego wyznania, z zapytaniem: — Mozie panom trzeba kupić okowity trochę?

— Owszem, kupimy ale gdzie?

— Proszę za mną, tu niedaleko jest restauracja, hotelu jest też, tam można kupić, tylko ony panom nie sprzedają, ale ja wszystko psinięse.

— Dobrze, ale my chcielibyśmy też coś do jedzenia kupić, ewentualnie kolację zjeść.

— Hm... Do jedzenia, może być, że będzie coś i do zjedzenia. Panowie niech idą za mną!

Taki dialog skończyłem z prowadzącym nas żydkiem, gdy stanęliśmy przed parterowym budynkiem z gankiem, na którym z jednej i z drugiej strony były przybite pionowo blaszane szyldy z napisem Hotel. Nad drzwiami majaczył trzeci, który może wieścił o nazwie hotelu i jego właścicielu, jednak przeczytać go nie mogłem, przy nikłym świetle elektrycznej lampki.

Nasz cicerone pozostawił nas na ganku, a sam obiegłszy dom z drugiej strony, zaczął kołatać w okiennice i wołać, skąd dolatywały nas słowa: Moryc, sznel, a generał, gity giest, mach auf, — co się tłumaczy: Moryc, prędko, generał, dobre goście, otwórz!

Za chwilę rzeczywiście otworzyły się drzwi, i „Moryc” wpuścił nas do izby, gdzie przy świetle zauważyliśmy na szynkwasię różne specjały jak: gęś pieczoną, obwarzanki związane szpagatem w wianek, śledzie marynowane w słoju, i... całą baterję butelek z wódkami, jak: kontuszków, wiśniówek, anyżówek i innych.

Gospodarz, starszy tuziemiec izraelskiego wyznania, z brodą jak Mojrzesz, rzucił wzrokiem ku nam i zauważył honweda całego szamerowanego srebrem, a w spodniach czerwonych, który zdążył już zdjąć płaszcz i usiąść przy stole. Rzeczywiście wyglądał z bogactwa kolorów i ozdób, co najmniej na jakiego wysokiego oficera sztabu generalnego! To też faktycznie traktował go z należną czcią, dla jego kolorowego bogactwa szamerowań w różne esy i floresy spodni i kurtki, oraz kołpaka z kutasem, z czarnego końskiego włósienia, który nadawał strasznie marsowy wyraz twarzy, dokąd tkwił na głowie dziarskiego honweda!

Nasz cicerone z dużym zajęciem i ożywieniem tłumaczył coś na boku, jakimś dwom wyznawcom, przyglądającym się nam z odpowiedniego oddalenia, i co chwila spoglądali na wspomniany kołpak, leżący przy nas, obok płaszcza na stole.

Okazując właściwy swej rasie, szacunek i głęboki respekt dla tego przedmiotu.

Gospodarz, naturalnie w niemieckim języku, zwraca się do nas z zapytaniem: co sobie panowie życzą? Ja pokazuję mu wzrokiem, by zwrócił się do honweda, jako że on szarża oficcerska. Niestety, herr general! Ani słowa nie kapuje, tylko „nem tudom i nem tudom“ t. zn. nie rozumiem. Zaczynamy razem wspólną rozmowę z nim na migi, i zrozumieliśmy jedno: on chce jeść gulasz, bo gdy wyrzekłem słowo gulasz, bardzo się ucieszył i głową przytakiwał, że tak!

Dobrze, niechaj on je gulasz. Ja podszedłem do bufetu by coś przekąsić, a gospodarz do kuchni, by gulasz był zrobiony na echt węgierski sposób, przecież jest sam „generał“ węgierski u niego jako gość, więc dobrze zrobiony być musi! Czy gulasz ma być z papryką, czy z pieprzem i dobrze nasolony? — Z temi słowy gospodarz zwrócił się do mnie, ja zaś niby to że wiem jak ma być przyrządzony, przytakiwałem głową, a honwed za mną!

Wtem wpadło mi na myśl, mój Boże, jadę do Brygady, a tam pewno „mortus“ jak cholera, tu zaś tyle wódek i żarcia, że aż się serce kraje, trzeba i dla nich trochę kupić, ale za co? Forsy tyle nie mam, a chciałbym i trochę papierosów dla wiary zabrać! Trudno, jakoś trzeba pokombinować...

Gospodarz przyniósł własnoręcznie zamówiony gulasz przez „generała“, który, gdy go skosztował, strasznie sympatycznie się skrzywił, ale napewno dla tego, że był za gorący, co gospodarz przyjął za dowód uznania dla jego umiejętności przyrządzania gulaszu. Ja zaś wydaję mu polecenie (rzekomo w imieniu „generała“) by zapakował dwie gęsi pieczone, parę butelek wódki, kilka paczek tytoniu, parę pudełek papierosów i żeby dał tę paczkę żołnierzowi, celem dobrego zapakowania w naszym aucie, które stoi przed domem i jest przez niego pilnowane. Rachunek zaś niech poda razem z należnością za naszą kolację.

Gospodarz zapytuje, czy gęsi odgrzać? — Odrzekłem: że nie trzeba, ten żwawo się zajął zapakowaniem powyższych produktów, tak, że jeszcześmy nie zdążyli wypić po kolacji herbaty, a paczka mocno zapakowana już była na aucie i to akurat pod siedzeniem honweda!

Po wypiciu herbaty, wołamy płacić. Ja pierwszy płacę za swego śledzia, bułkę, herbatę i wychodzę przezornie do auta, siadając za sterem.

Za mną idzie honwed, coś mamrocząc podniesionym głosem, a gospodarz gestykulując rękoma, krzyczy mu prawie do ucha: „Cwei giens, zigareten, sznaps!“ A „generał“ daje mu dwie korney austriackie i też krzyczy, pokazując mu na migi, by wy-

dał mu resztę. Wszak gulasz, nawet w Budapeszcie, nie może kosztować więcej jak jedną koronę, a najwyżej koronę i 20 halerzy.

Gospodarz oberży z tego mądry nie jest, mnie zaś nie wolno się wtrącać do oficera, tembardziej, że i ja nie rozumiałem o co chodzi, a on tak bardzo zdenerwowany, pewno krzyczy, że podany mu gulasz był przepieprzony, przepaprykowany i przesolony. Że był przepaprykowany, to widać było po jego kolorze czerwonym.

„General“ taszczy się w auto i siada. Wtem gospodarz chcąc go ostatecznie przekonać, za co taki wygórowany rachunek mu wystawił, łapie go za spodnie na siedzeniu, by ten zrozumiał i powstał, to on mu pokaże, że za tyle prowiantów rachunek nie jest duży. Ale tego honwed chyba nie rozumiał, bo zaczął walić szpicrutą gospodarza raz po raz gdzie popadło.

Oberwał też i nasz cicerone, który się zaczął wtrącać do końcowej rozmowy między nimi. Ja zaś, nie czekając na koniec rozmowy, nacisnąłem pedał sprzęgła i jazda w kierunku Jaślan. Aby tylko z Dębicy się wyrwać jak najdalej, bo mogłoby i dla mnie być dalsze chandryczenie się z rachunkiem o parę głupich koron za gęsi i papierosy, nieprzyjemne!

Po przybyciu do Jaślan i trafieniu do t. z. K. u. K. Etapenkomando wraz z leutnantem od honwedów, ucieszyłem się niezmiernie, gdy mi na jego przewiezienie wręczono pokwitowanie. (Zostawiłem go nie bez pewnego uczucia wdzięczności. Zawsze to pamiętam, że gęsi były przez niego!).

Tembardziej, że jak odniosłem wrażenie z gestykulacji i zaparzenia się jego, napewno chciał pisać raport na restauratora w Dębicy, że mu lichwiarski rachunek wystawił za zjedzony gulasz!

Niestety, była późna noc, oficerowie spali, a ten który miał służbę, był kroatem i po węgiersku też nie rozumiał. Z trudem mój pepik, który jechał z nami, piąte przez dziesiąte mu przetłumaczył. Ja bardzo się spieszyłem, by przez Tarnów jechać dalej pod Szczucin, do miejsca postoju I Brygady!

Na miejsce przybyłem w południowej porze. Deszcz zimny padał, to też sam na rozgrzewkę pociągnąłem parę łyków jakiegoś „rosolisu“, czy likieru, co na mnie się zemściło, ponieważ nie trafiłem do wskazanej mi chałupy przez jakiegoś obywatela, który musiał być ordynansem, bo dźwigał obłożone dwa plecaki. Skręciłem z szosy naprzelaj przez rozmokły ugór, w kierunku wspomnianej chałupy, gdzie się sztab mieścił. Nie udało mi się

dojechać, ponieważ grunt był rozmiękły i gliniasty. Koła tak się głęboko werżnęły w ugor, że umarł w butach i ani rusz!

Piechotę doszedłem z rozkazami z „festungs - kommando“ i częściowo z tem, co zdobyłem w Dębicy, do chałupy, gdzie za pokwitowaniem wręczyłem papier szefowi sztabu.

Po oddaniu rozkazów, w pogawędce z kolegami nie szczególnie wesołej, dowiedziałem się, że między nimi jest „bryndza“, niema co palić, a i z prowiantami krucho! Takie rzeczy jak alkohol, i to przedniego gatunku, to nawet niema o tem co myśleć, by się znalazł chociaż na lekarstwo. To też po dowiedzeniu się jaka u nich jest pod tym względem bieda, wyjąłem pudełko papierosów „Khediv“ (takie palił Komendant) zapaliłem jednego, by dymem polechtać resztę niedowiarków, że takie papierosy palę, i to tam gdzie nie było nawet „Limito“ fajkowego na papierosy. A gdy do tego wyciągnąłem butelkę wódki, to bractwo przed takim rarytasem zerwało się na baczność! Aż do czasu zupełnego jej opróżnienia.

Niestety... Wyciągnięcie tej nieszczęsnej butelki, było z mojej strony największą lekkomyślnością, ponieważ doniosło się biegiem do sztabu, a stamtąd postarali się wszystkie pozostałe produkty w aucie, tak dowiecipnie „wyfasować“, że dla mnie i innych — nie pozostało nic!

*

*

*

Gdy po pewnym czasie rozmawiałem ze ś. p. por. Sulistrowskim, onego czasu adjutantem Komendanta, to zapewniał mnie, że widział jak po moim wyjeździe Komendant, por. Ludwig i inni, palili „Khedivy“. Ale czy napewno były te co „wyfasowali“ z auta, to on tego nie wiedział? Od innych też się nie dowiedziałem, i do dzisiejszego dnia nie wiem, kto mi to, te gęsi „wywakuował“? Nie raz robiłem sobie z tego tytułu wyrzuty, że nie umiałem dowieść tych produktów do sztabu i, że sam nie podzieliłem się z kolegami. Przynajmniej zrobiłbym uciechę Komendantowi z tych gęsi i wódek. A, tak... Nie wiem nawet, czy Komendant wie o tem, że wystarałem się i wiozłem z myślą, by Mu powiedzieć przy wręczeniu: Obywatelu Komendancie! Udało mi się kupić, okazjnie w drodze dla Niego!

— Ha, trudno. Nie trzeba było spocząć na laurach zwycięstwa zdobycia gęsi i alkoholu, i zacząć pić pierwszemu między swoimi w Brygadzie!

P. S. A może teraz, po opisanu powyższego dowiem się, kto mi wtedy produkty zarekwirował?

(C. d. n.)

„KRIEGSMATURA“ LEGUNA WE „WIDNIU“.

Chcąc wyrwać się trochę na „hinterland“ z pułku, wynajdywałem utartym zwyczajem rozmaite podstępny, jednakowoż wszystkie zawodziły.

Nie pomagały listy i telegramy o śmierci ciotek, babek i t. d. cieszących się zresztą jaknajlepszem zdrowiem, wódz kompanji por. Zulauf był nieugięty i ani myślał o wypuszczeniu jednego łazika w świat.

Nareszcie, jak grom z jasnego nieba, przyszła radosna wieść z Komendy Legjonów Polskich, że ci, którzy są niedouczeni, mogą zdawać egzaminy dojrzałości, lecz co najważniejsze, że dają w tym celu parodniowy urlop do Wiednia.

Otworzyło się pole popisu dla łazików i chociaż niejedni już dawno byli po maturze, lecz cóż to komu szkodzi być podwójnie dojrzałym.

Po nieskończonym liku raportów i świętem zapewnieniu mych wodzów, że na pewniaka wrócę do pułku, otrzymałem 6-dniowy urlop do Wiednia.

Rozczulił się w chwili wyjazdu z kompanji nasz kochany wódz Zulauf, a wiara po spędzonych dobrych parę godzin w kancypnie przy dźwiękach „dwurzędówki“ naszego wodza, tak z żalu ryczała, że w sąsiednich kompanjach aż powstał alarm.

Dawano mi ojcowskie przestrogi na drogę, a szczególnie zalecano skrzętnie unikać „kanarków“, gdyż te napozor niewinne stworzenia często gęsto przyzwoitego „obywatela“ pakują do klatki.

Po przybyciu do Wiednia zameldowałem się w naszej Komendzie Placu, a otrzymawszy za kwatere 1/100 powierzchni podłogi na jednej z dużych sal wraz z tradycyjnym siennikiem i kocem, udałem się natychmiast na „rozdobędy“ do stołecznego miasta, by wykorzystać każdą chwilę i znaleźć sobie przedstawicielkę płci, niepodlegającej obowiązkowi służby wojskowej.

Ponieważ był miesiąc maj, a w r. 1915 byliśmy jeszcze w mo-dzie, szczęście mi sprzyjało i w niespełna godzinę urodziwa „Mi-tzi“ szeptała w ucho kapralowi legjonowemu, że jej „Hans“ także poszedł na front, a ona tęskni za... nim.

Opowiedziałem jej na poczekaniu bajeczkę znów o mej sym-patji i wzruszeni wspólną niedolą przyrzekliśmy sobie umilać żywot, boć on przecie tak krótki i upływa tak szybko, jak woda w Dunaju do Czarnego morza.

Na drugi dzień zameldowałem się u por. Macieszy, który wyznaczył mi termin i zakład naukowy, a grunt, iż kazał mi wy-płacić 25 koron na opłacenie komisji, stempli, tudzież na inne rozchody, związane z egzaminem, ponadto zdołałem wydębic asygnatę na trzewiki, bo w swych nie mogłem przecież parado-wać ze słodką Mitzi po Wiedniu.

Skoro tylko wyszedłem od por. Macieszy, to w tym momen-cie otoczyło mię znaczne grono „łazików wiedeńskich“ z sierzan-tem Siekierzyńskim na czele, który zrobił srogą minę i zapytał mię krótko: „Forse otrzymałeś?“

„Tak“ — odpowiadałem.

„Pirsza klasa“ — brzmi odpowiedź Siekiery — to chodź z nami“.

„Dokąd?“ — zapytałem.

„Jako fujaro jedna, przecież masz zdawać maturę, to mu-simy cię przygotować, zapytaj którego, czy po moich lekcjach który z nich nie zdał“ — to mówiąc, powiódł wzrokiem po obec-nych, którzy jednogłośnie przyświadczyli.

Szczęśliwy, iż wpadłem w takie grono uczonych, bez dal-szej opozycji udałem się z nimi, a ci tak gruntownie zaczęli mię przygotowywać po rozmaitych knajpach, iż w dzień egzaminu musiałem pożyczyć od jednego z kolegów parę centów na tram-waj.

W rzeczywistości, według zapewnień Siekiery, który jak twierdził, iż jest w „cywilu“ zawodowym feldfeblem austriackim, zdałem egzamin dojrzałości z dobrym wynikiem, bo któż z sza-nownych p. p. profesorów chciałby wyrządzić krzywdę legunowi, którego dni życia i tak były policzone.

Gdy oświadczyłem, iż grosza nie mam na opłacenie stempli, tudzież komisji, pan przewodniczący z uśmiechem oświadczył, iż to ostatnie darują mi, lecz stemple muszę przynieść, bo ina-czej nie otrzymam świadectwa dojrzałości.

Udałem się naturalnie do naszego „ojca“ Siekiery i po krót-

kiej naradzie z całym jego sztabem łazików cierpliwie stanęliśmy przed drzwiami por. Macieszy.

Gdy tylko wyszła nowa ofiara z jego gabinetu, powtórzyła się ta sama historia co ze mną i otrzymałem 5 koron, a Siekiera nowemu kandydatowi na dojrzałość oświadczył, że jako już doświadczony przygotuję go, lecz gratisowo tego robić nie mogę.

Zasmakowawszy w żywocie łazikowskim nie miałem ochoty ruszać się z Wiednia, lecz pech chciał, iż idąc pewnego razu z uroczą Mitzi „popod antabę“ nie oddałem honorów warcie „tre-pów“ przed Hofburgiem cesarskim, a w rezultacie czego, pomimo, iż dobrze wiałem, wpadłem jednak w nie lubiane ręczki kanarków austriackich, którzy troskliwie wpakowali mię do niemiłej klatki, nazywanej w naszej gwarze paką.

Nie byłem jednak głupi, bo przecież uznano mię za „dojrzałego“, korzystając zatem ze sposobności, ulotniłem się jak kamfora z ubikacji oznaczonej dwoma zerami i „chodu“ do naszej drogiej Komendy Placu, jedynej przystani dla łazików.

W niecałe dwie godziny zjawił się na naszej sali nasz legjonowy kanarek i zapytał obecnych, czy niema kaprała Śmiechowskiego.

Wiara oświadczyła, iż dawno już wyjechał do pułku, a Siekiera, jako sierżant służbowy, uroczyście go o tem zapewniał, chociaż widział, iż leżę na swym barlogu i przypatruję się tej scenie.

Po wyjściu kanarka, wiara zaopatrzywszy mię w podrobioną przepustkę radziła mi chwilowo opuścić Wiedeń.

Udałem się na dworzec północny i szczęśliwie wślizgnąłem się do pociągu odchodzącego do Krakowa.

W przedziale zapoznałem się z feldfeblem austriackim, który wraz z swoją rodziną powracał do Galicji i z powodu tej okazji wydobył z swych waliz i tłumoków znakomitą śliwowicę, tudzież wcale nieźle wina.

Gdzie pożegnałem tę zacną rodzinę, tego nie pamiętam, bo jak przyszedłem do przytomności, to spostrzegłem, iż jestem w szpitalu.

Nie zmartwiłem się tem wcale, ale nie miałem najmniejszej ochoty włączyć się z jakimś transportem, wobec tego dałem „dęba“ i korzystając, iż z Bogumina odjeżdżał cały pociąg z „kameradami“ do Deutschlandu, wpakowałem się do nich i zajechałem do Katowic, gdzie zobaczył mię jakiś pruski lajtnant i natychmiast wysadził z wagonu.

„Kamerady“ zamiast oddać mię według danego im rozkazu, kanarkom austriackim, wyprowadzili mię na miasto i oddali

w opiekę innym „Kameradom“, a ci odstawili mię do ich „Soldatenheimu“.

„Der kleine Pole“ przypadł wszystkim do serca, a szczególnie paniom, z pośród których specjalną opieką otaczała mię niejaka Frau Wolf, z polecenia której otrzymałem nową bieliznę, tudzież przyzwoity mundur, lecz niestety niemiecki.

By się gość nie nudził, oprowadzano go po domach, gdzie rozmawiano po polsku.

Zdarzały się nieraz komiczne sceny, gdyż ja nie byłem tęgim w niemieckiej mowie, a gościnni gospodarze w polskiej.



Obiad.

Opowiadając pewnego razu jeden z epizodów wojennych, użyłem niewłaściwie słowo „scheissen“ i byłem bardzo zdumiony, gdy piękne słuchaczki parsknęły głośnym śmiechem, aż dopiero jeden z panów wytłumaczył mi sens tego słowa.

Po dwutygodniowym pobycie w Katowicach, gdy już należycie oswoiłem tamtejszych obywateli z widokiem żołnierza polskiego, który w tak niedalekiej przyszłości wkroczył do tego grodu, zatęskniłem za pułkiem i opuściłem prastarą naszą dzielnicę śląską.

Niemiecki mundur, maciejówka legjonowa, a w razie potrzeby niemiecka czapka w zapasie, tudzież przepustka z Wiednia wypisana tak, że daty zawsze można było zmieniać, ułatwiły mi podróż i bez żadnych przeszkód przybyłem do pułku.

Gdy zameldowałem się u wodza III baonu 4 p. p., kpt. Szerauca, to niedużo brakowało, aby moja fizjognomja powiększyła się do trzeciej potęgi i to nie za łazikostwo, ale za mundur niemiecki.

Ledwie zdołałem się wytłumaczyć, nie mówiąc naturalnie prawdy, a nasz dziadek omal nie rozplakał się nad niedolą swego podwładnego i kazał wypłacić mi za całe dwa miesiące łazikowania żołd, strawne i inne dodatki polowe.

Zebrała się z tego spora suma i wiara witała mię z tego powodu owacyjnie, chociaż kompletnie wstawionych wsadzono nas na zakończenie tej uroczystości do paki, bo nowy wódz por. Nowakowski, świeżo przybyły z armji austriackiej nie rozumiał tej doniosłej chwili, a nasz Zulauf odszedł ze swoją dwurzędówką do I baonu.

Sporo nas z tej paczki już dawno zostało odkomenderowanych do niebiańskich szeregów archanioła Michała, lecz ci żyjący na tym padole, przekazują te bajdy potomnym, by wiedzieli, żeśmy prócz ciężkich chwil nie tracili na fantazji i nabierali na kawał kogo tylko można było.

Z CYKLU „RELUTON MA GŁOS“.

I.

PRZYGODA UŁANA.



Kto to był, tego wam nie powiem, bo by chłopu mogło być nieprzyjemnie, zresztą nie o to chodzi.

Dość, że był to ułan, beliniak. Miał tej nocy służbę w stajni. Niejeden mu zazdrościł, bo to ciepło, no i tak cichcem, jak nikt nie widzi, to i przespać się zanie można.

Otóż to go właśnie zgubiło.

Tak se chłop setnie zachrapał, że aż czako ze łba zgubił. I tu sęk dopiero! Potoczyło się czako i zatrzymało tuż za kasztankiem.

Żeby przy innym chociaż koniu, to by uszanował czako ułańskie, ale kasztan — oho! znany był w całym szwadronie!

Budzi się ułan, już dzień, jak wół, ruch w podwórzu. Szuka czaka, wreszcie znalazł, a że w stajni dość ciemno było nic nie zauważył.

Szczęście, że nie włożył na głowę...

Wychodzi na dwór, patrzy... O zgrozo!

— Ścierwo! — powiada pod adresem kasztanka.

A tu ułany już zobaczyły. Jubel w całym szwadronie!...

Aż do wymarszu miał się biedny ułan zpyszna.

Ba, dostać się tylko na ułańskie jęzory! Zjedzą cię z butami!

Rusza szwadron ze wsi, a tu ryk taki, że się mało chłopcy z koni ze śmiechu nie wała.

Aż Belina zawrócił konia i patrzy, co się stało.

A kiedy przejeżdżał koło niego ułan, co to miał zajście z kasztanem, sam Belina parsknął śmiechem.

Wiecie, co mu te bestje zrobiły?

Z tyłu za siodłem na miejscu menażki, taką mu fajną „menażkę“ z uchem przytroczyli, którą gdzieś we wsi z pod łóżka zarekwirowali, żeby miał na wszelki wypadek dla kasztanka.

FASUNEK RUMU.



Najgorzej!

Widział kto kiedy rum?!

W drugiej Brygadzie to wołali: „Dać mu rumu“. Ale tyle tylko było tego rumu. A nieraz takby się przydał! Ojoj!

Phi, znów nie myślcie, że relutony dadzą się kiwać austrjakom!

W lesie zatrzymały się na noc tabory austrjaków, podobno do prowiantury coś wiozą.

Idą akurat dwa relutony. Patrzą, a z jednego wozu beczulki wystają.

Oj, ślinka idzie do ust. Żeby choć jedną beczuleczkę! Wiaraby się ucieszyła!

Ale koło wozów snuje się landszturmak, faję porcelanową w zębach trzyma, a na ramieniu wisi mu „manlicher“. Ledwo to nogami włóczy.

Fajna warta, co?

Mrugnęły na siebie leguny.

Jeden umiał gadać po szwabsku, więc zaraz wdaje się w gawędę z landszturmakiem.

A ten mu się skarży, że zmęczony, że przespałby się, a tu całą noc musi wartować, bo prowiantowcy zawalili się na wozy i śpią ani ich ruszyć.

Lituje się niby legun nad nim, poczęstował „dramą“, przytakuje dziadowi, w końcu powiada tak:

— Wiecie co? My mamy całą noc wolną, to popilnujemy wam wozów, a wy się trochę zdrzemnijcie.

Obejrzał się landszturmak, kusi go, ale ma pietra.

— W razie czego — powiada legun — jakby szedł jaki wasz naprzykład, to was obudzimy, nie bójcie się!

Poceregielował się jeszcze trochę austrjak, ale mu legun tak wszystko pięknie wyperswadował, że się wkońcu położył i chrapnął. Drugi reluton na to tylko czekał. Zabrali się do roboty i zafasowali klawą beczulkę, a na pożegnanie, to jeszcze pożyczyli manlichera, bo na co dziadowi kiedy śpi, jeszcze sobie przez sen co złego zrobi.

Ale było co pić (każdy dostał po pełnej menażce).

R Y M Y

I.

Z ROZKAZEM.

A gdy świśnie koło ucha
Kula, albo szrapnel jucha,
To się jeno na kulbace
Człek cokolwiek przygnie w biegu
I „requiescat in pace”
Szepnie za tych, co w tej chwili
Tam, gdzie szrapnel upadł, byli
I mknie dalej...

II.

ZADYMKA.

(Wspomnienie z roku 1915)

Zadymko! śnieżnych łąk i pól
Królowo ty! wszechwładna!
Ciebie nie wzruszy żaden ból,
Ni skarga nędzy żadna!

Wołamy do Cię: „Męki zwól!
Nie daj nam zginąć!”
A ty tak krążysz pośród pól,
Że cię nie sposób ominąć!...

Chwytasz i tulisz nas w łachmany
Swe śnieżne, białe, lodowate,
Że człek się rzuca, jak pijany,
Przedziwną jakąś siłą gnany,
W uściski twoje — na zatrąte!

Zadymko! śnieżnych łąk i pól,
Królowo ty! wszechwładna!
Ciebie nie wzruszy żaden ból,
Ni skarga nędzy żadna!...

A w zadymce szwadron hula!

Hej! Matula — śmierć!
W białe puchy go otula,
Jak prawdziwa ta matula,
Co na łonie dziecko lula...
Komu będzie śmierć?

III.

LEGUN — KRÓL.

Gdy na wojnie poległ król,
To świat cały przejął ból!
I gazety mu pisały...
Jego cnoty, żywot cały,
Choć nie wielki był — lecz mały!

A jak poległ Legun w boju
Z ran i z głodu — z trudów — znoju,
To mu jeno leżeć cicho
Pod mogiłą przykazali,
By go nie korciło licho,
By nie walczył jeszcze, dalej!...



Z A L O T Y. (Rys. A. Czerny).

ODPOWIEDŹ 5 P. P. NA MANIFEST L. K. W.

Sędziowie!

Pogotowie Wojenne Ligi Kobiet Wolskiej
Tyś nam dzisiaj jedyną przednią strażą Polski
Do Ciebie z uwielbieniem serce nam uderza,
Boś ty władzą najwyższą polskiego żołnierza
Bez Ciebie cóż znaczyłby jego trud i znoje,
Że nam wolno oddychać, to dzieło jest twoje
Biedni my, głupi i obalamuceni
Żyliśmy dotąd bez twojej mądrości promieni
Aż oto wstąpiłaś w naród z manifestem
Do więzienia z Piłsudskim — a więc jestem.
Piłsudski jest czarownik, zbrodnią jest hypnoza —
Piłsudski bunt wywołał, a za bunt jest koza!
Piłsudski jest zbrodniarzem: na prusaków warczy —
Nie chce łapy im lizać, więc Polską frymarczy!
O niebo otwórz się, bij w skroń jego gromie,
Bo Piłsudski nie lubi prusaków świadomie.
O narodzie! sumienie ozwij się nareszcie
I osadź Józefa Piłsudskiego w areszcie!
Prusacy przecież grzeczni, tak ubrani ładnie —
Żadnemu chłopu żdźbła słomy nie skradnie...
Że po polsku mówimy, nie dyktuje kary...
Oni tacy uprzejmi o nas tacy dbali!
Nieprawda, by w szpitalu szpiegów nasylali —
Nieprawda, by do polskich strzelali żołnierzy!
A jeśli uciekli, to tak się należy...
Oni wiedzą, jak Mojżesz, naród z mroków toni,
Więc czemuż nie zaprzysiądź im braterstwo broni!
Bez Niemców marłoby się z głodu, jak te muchy:
Bo któż wam brukwią wypchał wygłodniałe brzuchy!
A że w Polsce zabrali wszystko, jak swe lenna,
To nie — wszechwinna konieczność wojenna.

Przysięgnijcie im wierność więc polscy żołnierze,
Z prusakami zawrzyjcie braterstwa przymierze —
Tak Wam rozkazuje Kobiet Liga Wolska
A to co my wam każemy — to każe wam Polska!
Przysięgnijcie, niech mądrość oświeci Was Pańska:
Małgorzata Waszyńska i M. Łopuszańska.
Przysięgamy Wam Panie w imię Waszej cnoty,
W imię waszej dzielności i waszej głupoty
Na rondle przysięgamy, władzy waszej znamię,
I na odezwę waszą, która nie nie kłamie,
Że za ten wasz manifest, gdy będzie gotowy,
Engagement da wam kabaret polowy
A gdyby wcześniej nastał pokój na tym świecie,
To i w cyrku i w Kiernozi zajęcie znajdziecie.
A teraz niechaj radość biusty wam rozszerzy
Macie to nasz manifest — manifest żołnierzy.



DAJ POPALIĆ!... (Rys. A. Czerny).

LEGJONISTA I ENDEK.

Wolno psu na Boga szczekać,
Wrogom na Legjony,
Wolno się endecji wściekać,
Wyć w przeróżne tony.

Legun, endek, dwa — bieguny
Nie zejda się nigdy.
Ale może cud się stanie
Na świętego Dygdy.

Co ma piernik do wiatraka,
On do legjonisty,
Toć endecka ci pokraka —
Wszak to wszystko glisty

Jak robaki drzewo ryją,
A ziemię dżdżownice,
Dla nich rozkosz żyć wciąż chryją
Puszczać świńskie witze.

Że „leguni austrjakom służyli ci wiernie”,
Wiedząc dobrze:
Każdy legun
W austrjaka p.....

Dalej endek szkli o Niemcach,
żeśmy byli w kupie,
A my Niemców i endecję,
Razem mamy w

Tam w więzieniach, że ginęli
W Sziget i Szczypiornie,
O tem oni ...zapomnieli
I kryją przezornie.

Jak gnębili legjonistów
...austrjackie syny,

Co zrobili Niemcy z nami,
Wszak znamy ich czyny.

A choć szliśmy naprzód z Bogiem
Wśród nas i kapłany,
Że nie szedł legun z endekiem,
Stąd szum! wściekłej piany.

Nikt Legjonów nie dosięgnie,
Stoją za wysoko.
My Legjony — a nad nami
Czuwa Boga Oko.



JÓZIO I JEGO JENIEC. (Rys. A. Czerny).

LEGJONOWO W PIEŚNI.

(Śpiewane w kabarecie przez Stojka w Legjonowie)
(w maju 1916 roku).

(Na nutę: A mój ojciec i matka
Mój braciszek i babka).

Niechże kuźdyn z was powie,
Czy jest źle w Legjonowie:
Jest kantyna przed latryną,
Fuszbol, karuzela, kino —
Dla pobożnych kapliczka.

Bać się tu nie masz czego,
Bo są druty od tego —
Jest karabin maszynowy
(Był ci i on kiedyś nowy),
Czućnie śpiące wedety.

W razie gdy się coś zdarzy,
Mamy moździerz w menaży —
Dziadek ci w nim cukier gniecie
Lecz to nic nie szkodzi przecie —
Moździerz zawsze moździerzem!

Jak chcesz mieć całe nogi,
Nie próbój iść przez drogi:
Natrafisz na wilcze doły,
Zasieki i ostrokoły —
Techników to robota.

Jest kantyna na Jana
Kantego tak nazwana,
Bo słynie z tego wokoło,
Że jest, jak Jan Kanty goło,
Gdy go zbójcy łobdarli.

Planty na sposób grecki
Pół roku stawiał Brzeski —
W nocy chyłkiem między sady
Chodzą se na promenady
Oficery aleją.

W fuszbol tyż wiara grywa —
Kręci kark — nogi zrywa —
Śmieją dranie się łokropnie,
Jak jeden drugiego kopnie
Zamiast w piłkę w pośladek.

Iść do kina możecie,
Bo warto ujrzeć przecie
Z licznych trzech kawałów jeden —
Składa się nań filmów siedem
Po pół metra z każdego.

W kregle wygrasz setkami,
Jak grosz premje z rondlami.
Ten co przegra klnie on strasznie,
Że miast kulą lepiej właśnie
Za psami rzucać głową.

Z jednym tylko jest szopa,
Co wielce trapi chłopa:
Za babami tęskni bractwo!
Ktoś zrobił wielkie łajdactwo
I trzy kozy sprowadził.

Koniec wojny daleko —
Wszystko na urlop czeko —
Powiesić się będzie trzeba,
Bo przecież kuźdyn z was cheba
Umiałby to co i owszem...



„Gmach“ kina w Legionowie.

P O W O J N I E.

(Rok 1916)

W czas wielkiej wojny dorosły mężczyzna,
Co drugi prawie, w wojskowym mundurze.
Stara to prawda, a więc każdy przyzna:
Przyzwyczajenie równe jest naturze.
Więc, gdy z wojenki ktoś do domu wróci,
Tam, gdzie go czeka rodzina stęskniona,
Krótką komendę po żołniersku rzuci:
„Zbiórka w ordynku!” — „Padnij! w me ramiona!”

Lub inny przykład: mąż wraca do domu,
Do młodej żony. Będąc z wojska wolnym,
Przyjechał nagle, nie pisząc nikomu.
Zastaje żonę z swym kolegą szkolnym,
Więc w pierwszej chwili ima się szabelki
I drżący z pasji zawoła: „Kolego!...”
Lecz opanował swój gniew i ból wielki
I rzucił żonie: „Wróć! — Łącz do prawego!”

Mąż pewien w bojach spędził długie lata,
Wreszcie powraca na łono rodziny.
„Ach, mężuś drogi!” „Kochany nasz tata!”
Woła nań żona i córki i syny.
Popatrzał wzrokiem czulego rodzica
I nagle pobladł, widząc coś... nowego...
Wszak było czworo — skąd znów ta różnica?!
„Sekcjami rozlicz! — Luzuj od lewego!”

Ktoś, co się żenić będzie chciał po wojnie,
Gdy mu reumatyzm dość się da we znaki,
Może wybierać zupełnie spokojnie,
Na mężczyzn bowiem będzie popyt taki.

Więc, gdy się znajdzie wśród panienek koła,
Niech ślamazarnie do serc nie kołacze —
„Dyrekcja ołtarz! „Niech głośno zawoła —
„Na ochotnika ze mną — bo wyznaczę!”



UŁAN I DZIEWCZYNA. (Rys. A. Czerny).

„LITANIA“ LEGUNÓW Z OKOPÓW.

Panie zmiłuj się nad nami biednymi strzelcami
Od siedzenia w mokrych okopach
Od wszów i innego robactwa
Od nagłego i niespodziewanego szturmu
Od wizyty generałów i innych ekscelencji
Od gwałtownych alarmów w nocy
Od przekłętego 100 razy „padnij i powstań“
Od wściekłego „biegiem w pełnym rynsztunku“
Od dalekiego forsownego marszu z pustym żołądkiem
Od ciężkiego tornistra i chlebaka
Od niedzielnej służby
Od wstrętnej wizyty broni
Od niespodziewanego aresztu
Od przekłętego „słupka i szpang“
Od śmierdzącej zupy i innych wiktuałów
Od nagłej i niespodziewanej wizyty moskali
Od pułków czeskich będących w rezerwie
W y b a w n a s P a n i e.

Do dużych porcji mięsa na pozycji
Do żołdu często z powodu drobnych niepłaconego
Do pełnej menażki kawy chociaż czarnej
Do manierki z wódką lub innym trunkiem
Do wielkich knedli gdzieś na spoczynku
Dopuść nas Panie.

Abyśmy mogli się dobrze wyspać
Abyśmy mogli kucharza zawsze kiwać
Aby nas oficerzy nie karali
Do wyjścia z każdej ciężkiej opresji
Aby nas nie łapali przy „pożyczaniu“ kur lub
innego drobiu

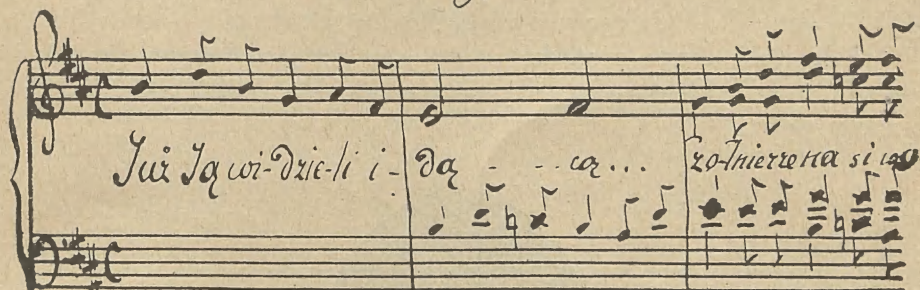
Aby nas panny kochały
Wdziękami swemi szczodrze darzyły
Byśmy mochów hen na Sybir wygnali
By przed nami uciekali
By się nigdzie nie oparli

Dopomóż nam Panie.

By wsi i miast Polskich nie palili — Skarz ich zato Panie.
Panie zmiłuj się nad polskimi legunami.

A K T U A L J A

Suita legjonowa



Redakcji „Gawędy Legionów” w serdecz-
nym uśmiechu Stanisław Karłowicz.

Był poeta, co chociaż w szeregach legjonowych nie walczył, chociaż nie nosił szarego munduru, jednak sercem i duszą był z nami, czuł i mówił po naszemu i wlał w swe poezje wszystko to, co najszczerzy legjonista wypowiedzieć tylko potrafił.

· To był ś. p. Edward Słoński.

I to, co Słoński oddał w swoich poezjach — przetransponowane na inny, a jednak tak pokrewny poezji język — rozbrzmiewa w potężnym hymnie — suicie...

Utwór, o którym mowa, nazwany przez kompozytora, prof. Stanisława Karłowicza „Suitą Legionową”, napisany jest na chór mieszany.

„Już ja widzieli idącą...” — to pieśń pierwsza. Jakiś przejmujący wzniosłością nastroju patos, który daje słuchającemu emocję, odczuwaną w chwilach stawania się rzeczy wielkich. Przenika do dna — porusza najgłębsze nuty, płynie po

przez głosy chóru triumfalnym pochodem, zostawiając poza sobą męki i ból:

„Już ją widzieli idącą
w przedśmiertnych swoich tęsknotach
ci, którzy z ran umierali
w poleskich borach i błotach...”

A dalej — pieśń druga — „Kto, jak On, — nasz Brygadjer Piłsudski...” W miśernie zbudowanej, koronkowej fudze dominuje, niby „Leitmotiv” dziejów ostatnich, Imię wielkie — Imię dla każdego prawego Polaka tak drogie — Imię Tego, co, jak głosi druga zwrotka pieśni: „tak się z Bogiem targował pod Łowczówkiem z krzywą szablą w ręku, o tę Polskę, pełną krwi i jęku...”



Prof. St. Kazuro.

Część trzecią stanowi pieśń promienna, pieśń triumfu, bo „już się wieść radosna po całej Polsce szerzy...” I kiedy głosy kobiece śpiewają: „Od rana w uszach grają żołnierskie, proste śpiewki” w głosach męskich słyszymy popularną leguńską, frywolną piosenkę: „Maryśka moja, Maryśka...”

Czwarta i ostatnia część „Suity” to rzecz tak dobrze znana braci legjonowej — pieśń, która się hymnem naszym stała: „My Pierwsza Brygada...” Mimo, iż każde dziecko zna ją dobrze na pamięć, jednak w tej odświeżonej (że użyję tego wyrażenia) szacie, to jest w układzie prof. Kazury — staje się prawdziwie uroczystym hymnem, brzmiącym potężnie ponad zgiełkiem małości życia powszedniego.

Nie będziemy się wdawać w ocenę szczegółową i fachową walorów kompozycyjnych, gdyż nie miejsce po temu. Zaznaczamy tylko, że „Suitę” trzeba usłyszeć, aby móc ocenić jej wysokie wartości, nie tylko z punktu fachowego — muzycznego, ale też i ze strony uczuciowej, dostępnej przecież dla każdego, nawet mało muzycznego śmiertelnika. To też dobrze się stało, że „Suita Legjonowa” została dzięki firmie „Syrena - Rekord” udostępniona dla wszystkich w formie trzech płyt gramofonowych w wykonaniu zasłużonej już „Kapeli Ludowej” pod dyrekcją kompozytora.

Podkreślić należy, że „Suitę” poprzedza na jednej z wymienionych płyt płomienne i, pełne głębokiej treści przemówienie Wacława Sieroszewskiego.

Nie wątpimy też, że płyty te znajdują się w każdej świetlicy żołnierskiej, czy też KOP-u, przywołując na pamięć czyny tak jeszcze niedawnej przeszłości i podnosząc ducha *).

H-mol.

*) Godzi się zaznaczyć, że fabryka płyt gramofonowych „Tow. Syrena - Rekord”, nagrodzona na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu wielkim złotym medalem P. W. K. i złotym medalem państwowym, mając na względzie rozpowszechnienie wśród najszerszych warstw społeczeństwa czołowych utworów naszych kompozytorów, utrwaliła na płycie nieśmiertelne dzieło St. Moniuszki „Halkę”, jak również w obecnej chwili jest w toku nagrywania wszystkich najznakomitszych utworów polskich.

GŁOSY PRASY

O „GAWĘDACH LEGUNÓW MIĘDZY SOBĄ”.

Poniżej podajemy kilka wzmianek, zamieszczonych w prasie, a dotyczących się numeru pierwszego naszego wydawnictwa. Może to zachęci tych, co jeszcze nieufnie się odnoszą do „Gawęd” i natchnie ich do spisania swych wspomnień, które z biegiem lat zacierają się coraz bardziej w pamięci. Przecież legunom w pierwszym rzędzie powinno chodzić o ich utrwalenie i pozostawienie przyszłym pokoleniom żywego odbicia tych momentów dziejowych.

„*Invalida*” Nr. 40. — Z okazji ostatniego zjazdu legionistów zostały wydane „Gawędy legunów między sobą”. Jak sama nazwa wskazuje są to opowiadania i przeżycia spisane przez uczestników walk legionowych. Treść ich to smutno-wesołe przygody ochotników pod wodzą uwielbianego Komendanta. Przez stronicę tych bezpretensjonalnych gawęd przebija to skoczna, wesoła piosenka wojenna, to z serca wyrwane przekleństwo żołnierskie, to wiara w Wodza i wyzwolenie, to rozpacz i zwątpienie, to radość i smutki, to jednym słowem epepeja szarego żołnierza, który szedł po Ojczyznę. Nie są to perły literackie, ani cenne stylem czy refleksją, lecz przygodne, wyrwane z życia sceny, tworzące historję Legionów i jako takie z tem większem czytane wzruszeniem. Nie jednemu z uczestników przypominają przeżyte chwile, odniesione rany, doznane zaszczyty, przeszłe spełnione nadzieje.

Słuszną tedy miał myśl p. Leon Miguła, b. żołnierz I brygady, który postanowił nawiązać z swemi byłymi kolegami łączność i w ten sposób stworzyć przyczynek do dziejów legionowych. Często są to b. wartościowe materiały, które przez historyków mogą być wyzyskane z pożytkiem.

Traktując „Gawędy legunów między sobą” jako zbiór opowiadań niejako pisanych dla siebie, a więc mniej literackich, a więcej szczerych, bezpośrednich — możemy je zalecić, jako miłą lekturę dla tych wszystkich, którym interesuje szlak ugorny brygad legionowych.

„*Il. Kurjer Codzienny*” Kraków, Nr. 288. — Były szofer sztabu I-ej brygady, jak się przedstawia we wstępnym raporcie, powziął myśl utrzymania tradycji legionowej zapomocą wydawnictwa periodycznego i w tym celu

zwrócił się do b. legionistów z prośbą o nadsyłanie odpowiednich artykułów. Apel poskutkował i oto wyszedł pierwszy tom z 16-tu dłuższymi i krótszymi przyczynkami, poważnymi i humorystycznymi. Tragiczna groza wieje z kartek pamiętnika „*Więźnia z Huszt i Marmaros Sziget*“, p. R. Góreckiego, opowiadającego o swem aresztowaniu przy próbie przebicia się z Hallerem z okopów austriackich do korpusu Muśnickiego i o oczekiwaniu egzekucji. Ignacy Boener, minister P. i T. opowiada kilka anegdot z pierwszych miesięcy wojny, między innymi wizytę J. Piłsudskiego u X. biskupa Łozińskiego w Kielcach. Przedni humor legionowy reprezentuje gawęda S. Z. Hirszla p. t. „*Jak cesarz na wspólny koszt z relutonem jechał*“, t. j. jak legun dostał się w Wiedniu do wagonu, wiozącego cesarza Karola do Kowla i jak się przez drogę wysypiał i objadał. Doskonały jest też kawał S. Strzelczyka - Wysokiego p. t.: „*Leguna i wściekliczna nie chroyta*“, o polskim oficerze z obozu jeńców w Usmaniu (gub. tambowskiej), który, chcąc się dostać do Moskwy, zadał sobie giletką kilka ran w udo i udał pokąsanego przez wściekłego psa. Odesłano go więc do instytutu Pasteura w Moskwie, gdzie doznał wesołych przygód. Bezimiennie ogłoszono „*Wspomnienia legionowe o A. Neumert-Nowaczyńskim*“, drukowane już, jak się zdaje, w „*Głosie Pracy*“. Z innych przyczynków najsłabsze są te, których autorzy bawią się — bez powodzenia w kompozycje literackie. Właśnie unikanie papierowej literackości i spisywanie surowej tradycji ustnej może usprawiedliwić rację bytu tego wydawnictwa.

„*Nowy Dziennik Kresowy*“ Grodno. — Z inicjatywy Leona Miguły pod hasłem „aby wszystkie historie i historyjki Legunów nie poszły w zapomnienie“ powstało obecnie nowe wydawnictwo legionowe, które zapowiada się „jako zbiórka pierwszej Kadrówki, wyruszającej stąd, z Warszawy na najdalsze Kresy Rzeczypospolitej, jak również i do środowisk skupień legunów zagranicą, poniesie ona tę myśl, że żyjemy, że pamiętamy o sobie, o wspólnych dolach i niedolach, przeżywanych w Legunach i że nadal Legun Legunowi jest bratem!“

Zapewne „wszystkie Leguny“ powitają entuzjastycznie ten pierwszy tom gawęd i zewsząd sypną się do Redakcji różne wspomnienia i kawały relutonów.

„*Nova Ziemia Lubelska*“. — Dawno już rzucono myśl systematycznego gromadzenia materiału anegdotycznego z czasokresu legionów. Dziś dopiero to poczynanie urzeczywistniono.

Pierwszy sierpniowy tom owego wszechstronnie pożytecznego wydawnictwa, pod znakomitą redakcją kpt. Leona Miguły (Gnoma) — daje nam smakowitą próbkę tego, co zwykle legun legunowi prywatnie mawiał, a co mogłoby rychło ze stratą dla kultury naszej — zagaść: rozmaitego rodzaju

brewerje relutonów („Jak cesarz na wspólny koszt z relutnem jechał”), arcy-ucieszne wspomnienia o „bohaterstwach” Adolfa Nowaczyńskiego, dykteryjki o gen. Zielińskim. Sypie się z tych kart humor żołnierski, niekiedy tragizm (opowiadanie gen. Góreckiego), niekiedy, że tak powiem — „mistyka legjonowa” w utworach Zygmunta Ostafina. Całość świadczy niepomrotnie głęboko, dając mocne świadectwo tej prawdzie, która mówi, że Legjony ważyły w swym ręku tętno życia ówczesnej Polski.

Wydawnictwo — niezmiernie aktualne. Dobrze, bardzo dobrze się stało, że dokonano urzeczywistnienia pięknego dzieła. Pokolenia za pokoleniami będą przechodziły, a nie obcy im się stanie dźwięk perypetyj leguńskich. Bo żołnierze Piłsudskiego — to wojsko szczególniejszego autoramentu: skorzy do walki, pełni zawsze i wszędzie humoru i radości życia.

Wdzięczność, wielka wdzięczność należy się kpt. Migule — za dokonanie pożytecznej pracy. Już nie zaginą anegdotyczne sekrety z historii bojów i życia leguńskiego. Społeczeństwo zaś dzisiejsze niewątpliwie inicjatywę pięknego dzieła gremjalnie poprze, niewątpliwie — przyczyni się do rozposzechnienia tegoż. Zwłaszcza, iż i szata zewnętrzna jest wysokiej wartości estetycznej, doskonale harmonizującej z treścią tomu.

Wszyscy obywatele winni nie tylko czytać, lecz i posiadać osobiście kapitalną książkę z przeżyć leguńskich.

OD REDAKCJI.

Ze względu na to, iż w przyszłym tomie naszego wydawnictwa mamy zamiar zaprowadzić obszerniejszy dział ogłoszeń, związanych z potrzebami Armji, podajemy narazie adres firmy, wyrabiającej odznaki wojskowe, pułkowe i inne, a mianowicie:

S. GUSIŃSKI

Warszawa, Miodowa róg Krak. Przedm.

z nadmienieniem, że firma powyższa w rzeczach wojskowych ma wyrobioną opinię solidnej wykonawczyni powierzonych robót pod względem artystycznym.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Ob. J. Dobrzański — Bossuet, Algier — 1/1 Regt. Etr. 5 Cie. Dziękujemy za pamięć. Cieszy nas, że „Gawędy Legunów” czytane są przez Polaków w szeregach Legji w odległej Afryce. Chętnie drukować będziemy wspomnienia. Polecamy się nadal pamięci.

Ob. K. A. — Koszarka. Za pamięć dziękujemy. Rzecz nadesłana nie nadaje się do druku. Zamieszczamy jedynie wspomnienia z przeżyć legionowych, anegdoty, pamiętniki i t. p. — słowem wszystko, co ściśle się wiąże z historją Legionów.

Ob. Z. Popiolek, w m. Obywatelu, literatury boimy się panicznie. Zasadniczo bojkotujemy ją. Co zrobić — tacy już jesteśmy!

Ob. M. Rudy — Huta Królewska. Nadesłane nam rękopisy wykorzystamy i zamieścimy w Nr. 5 „Gawęd”.

Ob. A. Makohoński — Siedlce. Z prawdziwą leguńską frajdą przeczytaliśmy Wasz list, który nie tyle ze względu na styl, ile treścią wyprowadził nas z równowagi życiowej. Bo, jak tu nie być rozczulonym, gdy taki „bratłata” pisze list, jaki tylko rzetelny Legun potrafi napisać — tak serdecznie i z tem czemś, co tylko my między sobą zrozumimy. Po otrzymaniu Waszego listu cała redakcja ryknęła: „Vivat! Niech żyje! Banzaj! Zip, zip, hurra! Sa-lem alejkum!” A to wszystko z uciechy, że są jeszcze na świecie takie Leguny, te prawdziwe re-lu-ton-y, których łączy wspólna służba w Legionach na chłodno i głodno i że więzy te są trwałe i nierozzerwalne, a dowodem tego Wasz list.

Cieszymy się niewymownie, że „Gawędy” znajdują tak miły oddźwięk — mogłyby jednak być znacznie lepsze, gdyby więcej byłych Legunów było owianych takim uczuciem, jak Wy, Obywatelu!

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

WYD. „LEGUNY MIĘDZY SOBĄ” — STRZELCZYK - WYSOCKI I MIGUŁA.
WARSZAWA, UL. MARJENSZTADT 20 — tel. 554-50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach Tow. „Ruch”.

Składy główne: Dom Książki Polskiej, Główna Księgarnia Wojskowa.

Konto P. K. O. 2404.

CENY OGŁOSZEN:

Druga, trzecia i czwarta strona na okładce — cała str. zł. 500 — pół str. zł. 275 — $\frac{1}{4}$ str. zł. 150. — W tekście — cała str. zł. 400 — pół str. zł. 220 — $\frac{1}{4}$ str. zł. 125.

Redaktor: Leon Miguła.

S P I S R Z E C Z Y

FELJETON	Str.
Zamiast raportu	5
Nieznany epizod, czyli o lotnictwie słów kilkoro . . .	9
CZYN W POEZJI	
Droga — rapsod	21
Na krańcach bytu i niebytu	34
Z PAMIĘTNIKA	
Dwa powitania	65
Wspomnienia z Kozienic	70
Gawędy legunów między sobą	72
„Kriegsmatura“ leguna we „Widniu“	78
Z cyklu „Reluton ma głos“:	
I. Przygoda ułana	83
II. Fasunek rumu	84
R Y M Y	
Z rozkazem	87
Zadymka	87
Legun — Król	88
Odpowiedź 5 p. p. na manifest L. K. W.	89
Legjonista i endeck	91
Legjonowo w pieśni	93
Po wojnie	95
Litanja legunów z okopów	97
AKTUALJA	
Suita legjonowa	101
Głosy prasy	104
Od redakcji	106
Odpowiedzi redakcji	107

Magazyn wykwintnej garderoby cywilnej i wojskowej

„Warszawska Wytwórnia“

B-cia M. i Z. DOMB

WARSZAWA, UL. Ś-TO KRZYSKA 20.

Posiadamy na składzie:

Garnitury marynarkowe, sportowe
frakowe i smokingowe Płaszcz
gabardinowe (burberry), gumowe,
płóciennie, brezentowe oraz wielki
wybór kurtek skórzanych.

Spodnie sportowe, sztruks, białe
tennisowe i t. p. Duży wybór mary-
narek alpagowych i innych. Palta
jesienne, zimowe, burki podróżne
kurtki oraz wielki wybór futer.

Najnowsze fasony.

Specjalny dział garniturów balowych do wynajęcia. Przy-
mujemy obstalunki z własnych i powierzonych materiałów.
Dla PP. przyjezdnych wykonujemy obstalunki w przeciągu 24 godzin.

==== Solidnym udzielamy kredytu. ====

JEDYNA I NAJTAŃSZA

BIBLIOTEKA KSIĄŻEK ILUSTROWANYCH

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

KSIĄŻKI RÓŻOWE i KSIĄŻKI BŁĘKITNE

IV-y rok wydawnictwa

Każdy tom w sztywnej kartonowej oprawie.
Ukazują się kolejno co tydzień: raz „Różowa“
(dla młodszego wieku) raz „Błękitna“ (dla star-
szego wieku).

Cena tomu zł. 1.50.

W prenumeracie z przesyłką zł. 1.10.

Żądać we wszystkich księgarniach. Zamówienia na prenu-
meratę nadsyłać należy pod adresem wydawnictwa:

Redakcja „Książek Różowych i Błękitnych“ Warszawa, Bagatela 13.

RESTAURACJA

KAWIARNIA

i

GASTRONOMIA

Warszawa
Nowy-Świat Nr. 16



Ze względu na dużą
frekwencję gości,
zawsze świeże i zdro-
we potrawy—Od-
wiedzana gremjalnie
przez b. Legunów

Punkt zborny
dla przyjezdnych

DOSKONAŁA OBSŁUGA

ODZNAKI LEGJONOWE

oryginalne i miniaturki

J. Mirowski

ul. Świętokrzyska 41
w Warszawie.



Wielki wybór pamiątek
wojennych i narodowych!!

Na prowincję wysyła się za
pobranem pocztowem.

Obywatele!!

*Po przybyciu do Warszawy zaprasza się
każdego z Was do od-
wiedzenia sympatycz-
nej CUKIERNI*

„Pomorskiej”

przy ulicy Złotej róg Zielnej

*na dobrą kawę, pączki
oraz inne wyroby cukier-
nicze. :-: :-: :-: :-:*

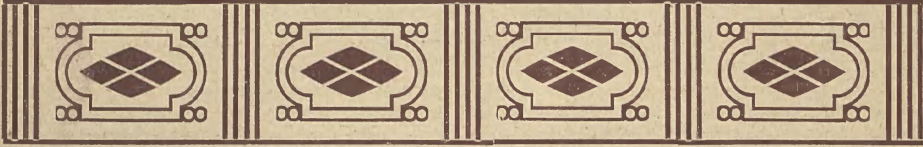
Leguni specjalnie mile widziani.

PRACOWNIA
JUBILERSKO-GRAWERSKA
S. GUSIŃSKI
WARSZAWA,

Miodowa róg Krak.-Przedmieścia

Przyjmuje zamówienia na odznaki
wojskowe, pułkowe, pamiątkowe itp.
podług własnych i nadanych wzorów
po cenach umiarkowanych.

Firma posiada również
SKŁAD BIŻUTERJI I ZEGARKÓW.



OBYWATELU POLSKI

PRZECZYTAJ!

**DOBROBYT KRAJU I TWÓJ
WYMAGA ZASTOSOWANIA
SIĘ DO TYCH WSKAZAŃ.**

**LIGA SAMOWYSTARCZALNOŚCI
GOSPODARCZEJ (L. S. G.)**

Warszawa, Hoża 74 m. 4 tel. 125-36.

Czytaj organ prasowy L. S. G.: „WYŚCIG PRACY”

Jeżeli rozwój gospodarczy naszego Państwa nie postępuje w tak szybkim tempie, jakbyśmy chcieli, to główną przyczyną tego jest nadmierny import tych towarów, jakie możemy sami w kraju wyprodukować. Już od dwóch lat mamy ujemne saldo bilansu handlowego, to znaczy, że od dwóch lat więcej kupujemy towarów od narodów obcych, niż sami im sprzedajemy. Więcej przywozimy, niż wywozimy.

Skutkiem tego następuje odpływ pieniędzy z Polski, bo przecież za towary przywiezione do nas musimy płacić, nikt ich nam nie podaruje. W rezultacie coraz bardziej odczuwamy dotkliwy brak kapitałów, wzrasta lichwa pieniężna, powstaje zastój w przemyśle i handlu, ustaje ruch budowlany — jednym słowem może nam zagrażać

Kryzys gospodarczy,

a z nim bezrobocie, drożyzna, a dla najbiedniejszych głód i nędza.

Dzieje się to dlatego, że za dużo wydajemy na niepotrzebne towary zagraniczne, które doskonale moglibyśmy zastąpić wyrobami krajowymi.

Oto co mówią cyfry:

W 1927 i 1928 roku **niepotrzebnie** sprowadziliśmy z zagranicy następujące obce towary, które śmiało moglibyśmy zastąpić wyrobami własnymi:

1)	Wyroby włókiennicze i jedwabne . .	zł	230,000.000.—
2)	Odzież	„	52,000.000.—
3)	Skóry wyprawione i futra	„	150,000.000.—
4)	Obuwie, kalosze, wyroby gumowe, papier i t. p.	„	360,000.000.—
5)	Perfumy, kosmetyki i leki	„	43,000.000.—
6)	Wina	„	18,000.000.—
7)	Cebula, śliwki, orzechy i migdały .	„	70,000.000.—
8)	Ryż	„	110,000.000.—
9)	Pszenica, kukurydza i inne zboża .	„	493,000.000.—
10)	Smalec i tłuszcze roślinne	„	181,000.000.—
Razem . .			zł 1.690,000.000.—

Jak widzimy z powyższego zestawienia niepotrzebnie sprowadziliśmy z zagranicy towarów za . . . **zł 1.690,000.000.—**

Deficyt (niedobór) bilansu handlowego za 1927 i 1928 r. wynosił **zł 1.230,000.000.—**

A więc zamiast deficytu moglibyśmy mieć nadwyżkę **zł 460,000.000.—**
gdybyśmy wszystkie te towary wyprodukowali w kraju, lub zastąpili krajowymi wyrobami.

Z powyższego wynika, że od nas samych zależy wyjście z obecnego stanu i droga do dobrobytu. **Wystrzegajmy się kupna rzeczy zbytecznych i kupujmy tylko wyroby krajowe!**

Obywatelu, zechciej jedną tylko chwilkę pomyśleć i zastanowić się poważnie nad każdym z poniższych punktów, a niezawodnie przyznasz słuszność, że:

- a) jeżeli Ty, Twój ojciec, brat, siostra, kuzyn lub przyjaciel nie może znaleźć pracy i cierpi biedę, to jest w tem trochę i **Twej własnej winy**, bowiem kupując wyroby zagraniczne współdziałasz w upadku przemysłu, handlu czy rzemiosła polskiego, a zatem odbierasz chleb tym właśnie, którym chciałbyś pomóc,
- b) kupując wyroby zagraniczne odbierasz chleb swoim współobywatelom, czyli powiększasz bezrobocie, **a przecież bezrobotnych Ty sam utrzymujesz**, płacąc podatki, z których państwo wypłaca im zapomogi,
- c) kupując wyroby zagraniczne nieraz czynisz to jedynie przez próżność. Schlebia to Twojej miłości własnej, że masz kapelusz, krawat lub chustkę zagraniczną. Przez próżność **spełniasz przestępstwo wobec swego państwa, a zatem wobec samego siebie**. Uprzytomnij sobie, że Anglik, Francuz czy Niemiec nawet zagranicą poszukuje wyrobów swojej ojczyzny, a Ty u siebie w kraju domagasz się towarów zagranicznych! Czy nie ubliża to Twojej ambicji narodowej?
- d) kupując wyroby zagraniczne dajesz zarobić narodom obcym i w ten sposób **swoim własnym kosztem**

wzbogacasz nie siebie, ale obywateli innych państw kupując natomiast wyroby krajowe:

- 1) dajesz zarobek Twoim współobywatelom, którzy, zarabiając sami, kupują i wydają, a przez to dają również zarobić obywatelom innym, **a więc i Tobie w tej liczbie,**
- 2) współdziałasz w rozwoju polskiego przemysłu i handlu, z którego sam czerpiesz środki do życia, podnosisz dobrobyt państwa, którego jesteś obywatelem, **dajesz chleb i zarobek samemu sobie i Twoim najbliższym,**
- 3) przyczyniasz się do wzmożenia oszczędności, a z oszczędności tworzą się wielkie bogactwa i dobrobyt narodów.

Obywatelu, pomyśl nad tem wszystkim, a niezawodnie przyznasz, **że w Twoim własnym, dobrze zrozumianym, interesie leży kupowanie tylko wyrobów własnego kraju.**

Obywatelu, Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu, przekonała Cię naocznie, że Twój kraj wytwarza niemal wszystko, czego potrzebujesz, **i że polskie wyroby są już pod wieloma względami lepsze od zagranicznych.**

Obywatelu, jeśli chcesz, aby Twoje państwo było bogatym, abyś bogatym był Ty sam — to niech Twym hasłem będzie:

**„Oszczędzaj,
nabywaj tylko rzeczy niezbędne,
a nabywając,
kupuj tylko wyroby KRAJOWE!“**

Ziółka Artretyczne Gessnera

Przy artretyźmie, sklerozie, zlej
— przemianie materji, otyłości —

p o l e c a:
A P T E K A

J. GESSNERA

Warszawa, Aleje Jerozolimskie Nr. 11.

W długie jesienne i zimowe wieczory największym
naszym przyjacielem będzie

Radjo-odbiornik Marconiego

który uprzyjemni każdą wolną od zajęcia chwilę.

Radjo-odbiorniki, głośniki, lampy i części składowe polecają:

Polskie Zakłady MARCONI S. A.

SKLEPY: Warszawa, Marszałkowska Nr. 142. Łódź,
ul. Piotrkowska Nr. 84. Katowice, Dworcowa Nr. 16.

ŻĄDAJCIE TYLKO ODBIORNIKÓW MARCONIEGO!